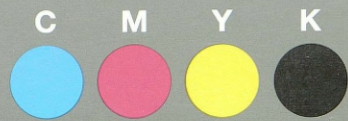
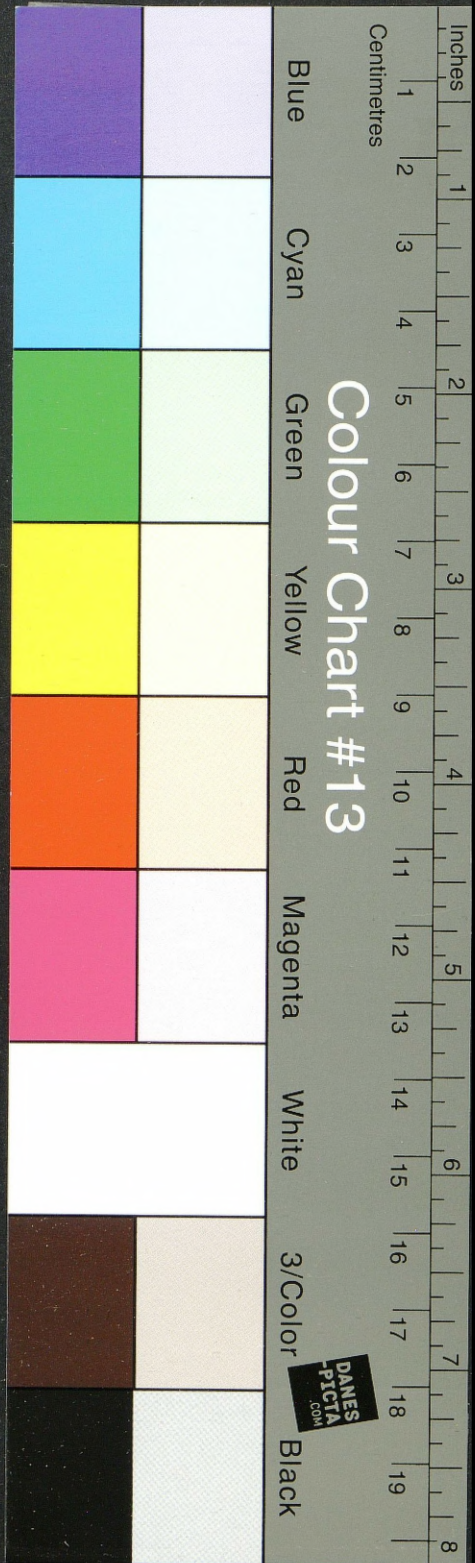
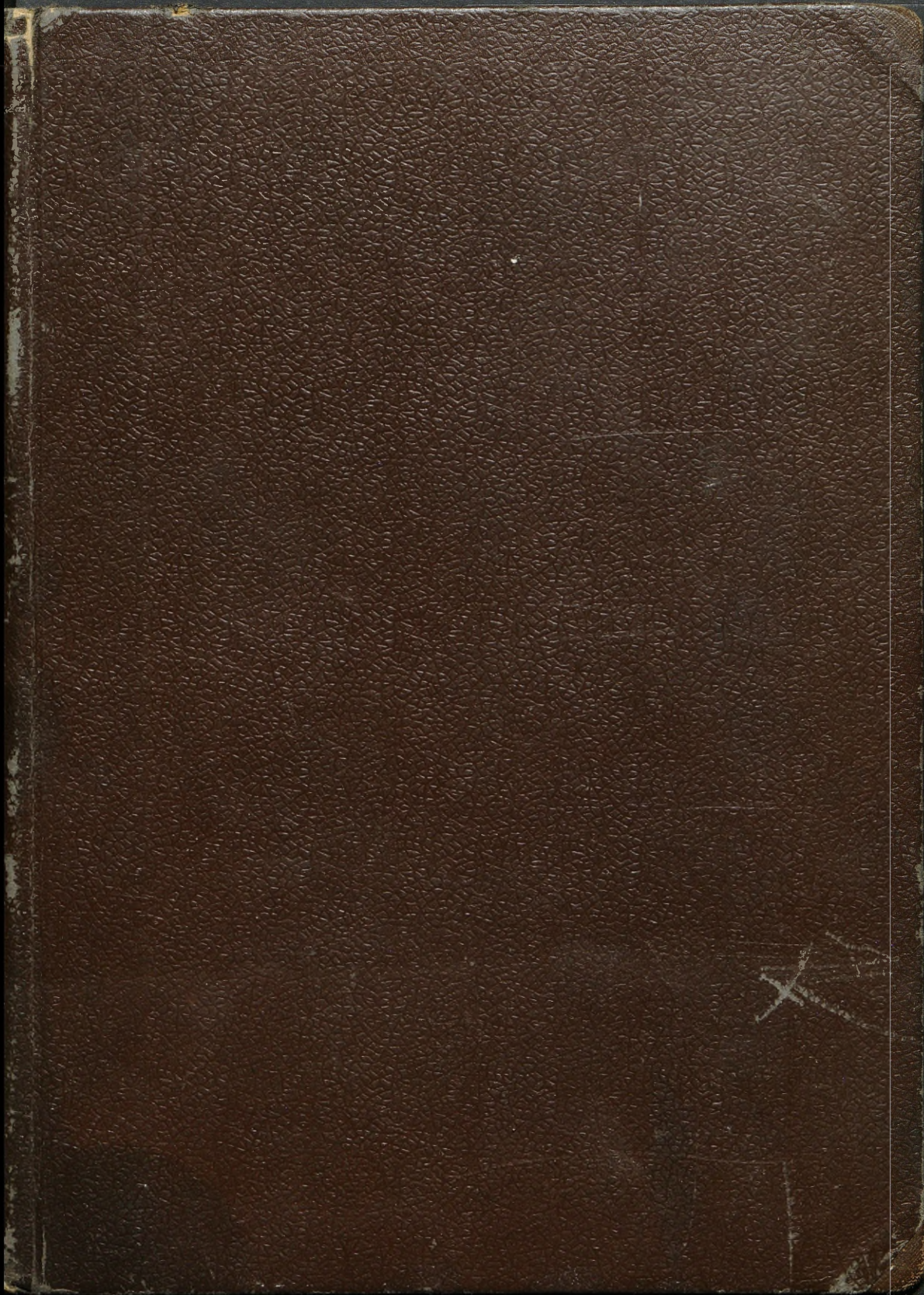


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

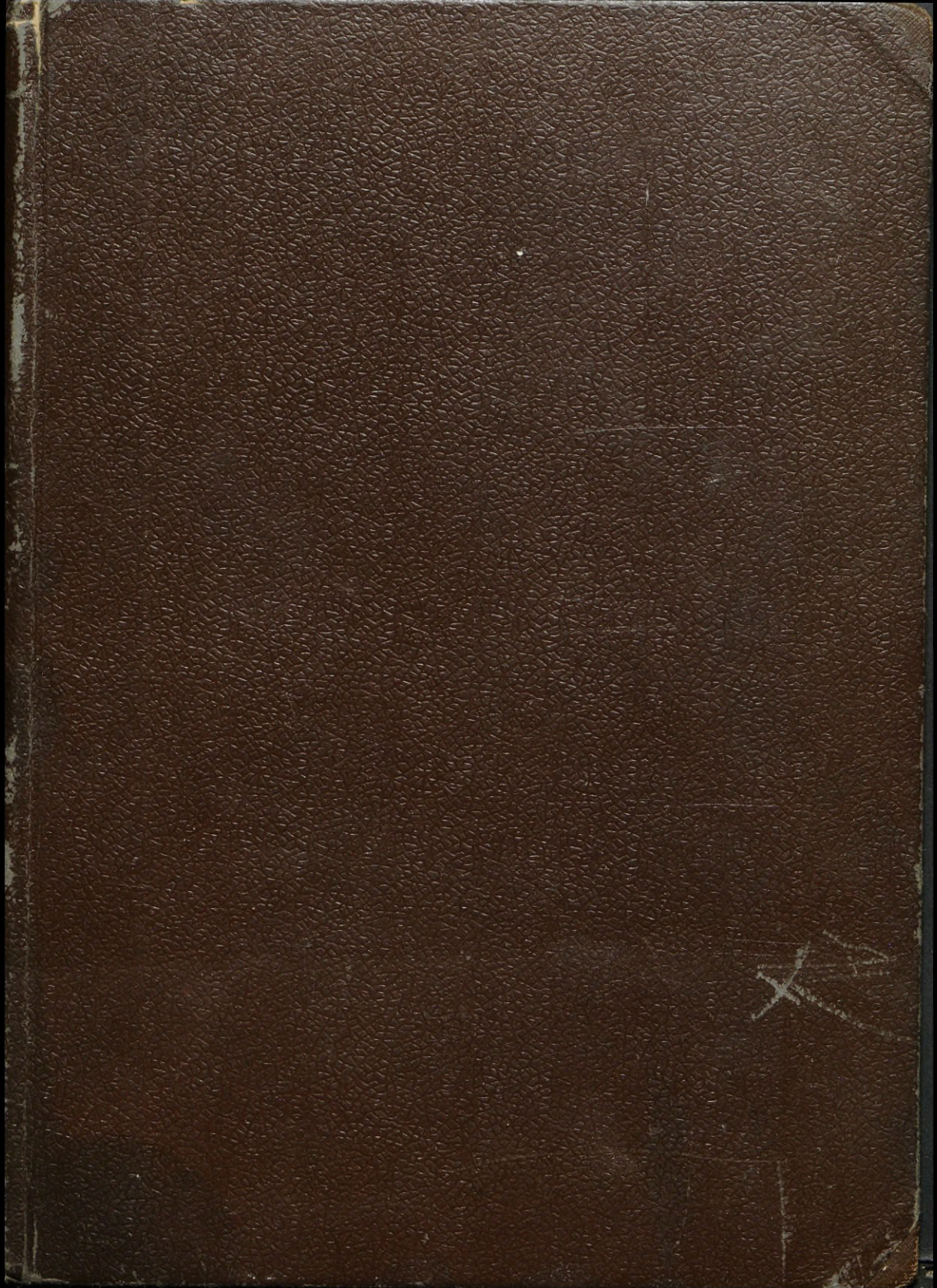


Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Inches 1 2 3 4 5 6 7 8
Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19





SZLAKIEM DUSZY POLSKIEJ

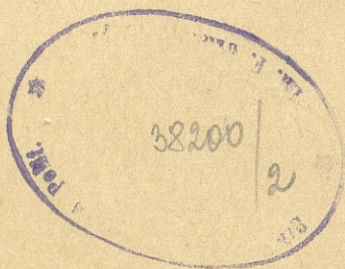
STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI

Szlakiem Duszy Polskiej



WYDANIE DRUGIE
NAKŁADEM SPÓŁKI WYDAWNICZEJ OSTOJA
POZNAŃ 1920

884-4



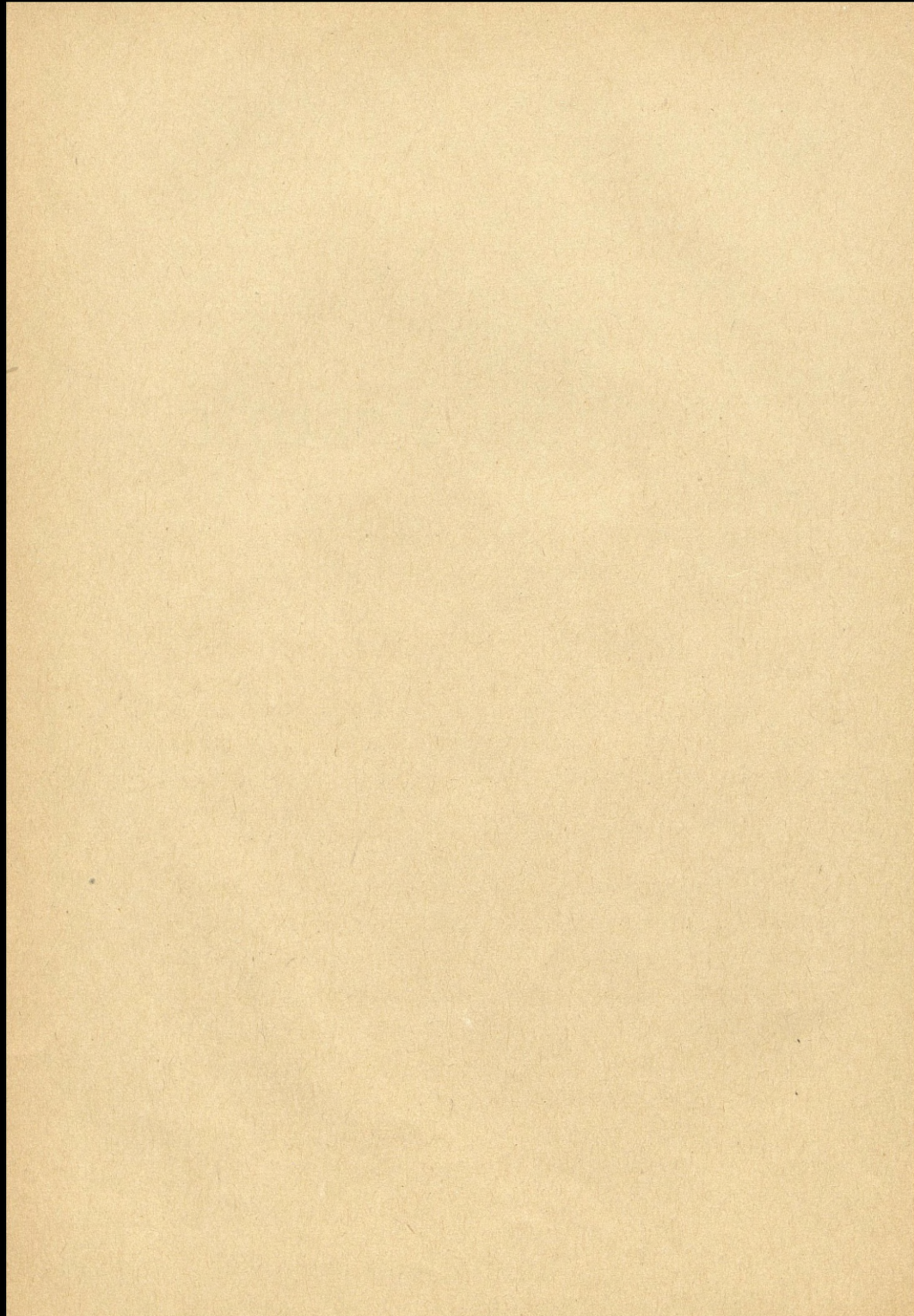
ARTYŚCIE I OBYWATELOWI
JERZEMU HULEWICZOWI

PRACĘ TĘ POŚWIĘCA

AUTOR.

CZCIONKAMI DRUKARNI: FR. PILCZEK, POZNAŃ.

PODŁOŻE



„Jest czynów ludzkich tak podniosła sfera,
Gdzie można ginąć, lecz się nie umiera!”

Spełniły się wieszczą słowa.

Przeolbrzymia podniosłość czynów ojców naszych kazała nam zginąć pod Maciejowicami, pozwalać się skuć w kajdany po Ostrołęce, kazała nam wytoczyć z siebie ostatnią kroplę krwi w ponad wszelką ludzką miarę bohaterskim 1863-im roku, ale umrzeć nam nie pozwalała.

Ta święta, heroiczna podniosłość czynów duszy polskiej, monarszy patos jej poświęceń, jej aż nazbyt hojnych ofiar krwi i mienia, Chrystusowa dostojność jej męczeństwa; to granitowe, niezniszczalne podstawy jej życia.

Zginęliśmy na chwilę — czemże są i wieki całe utraty bytu politycznego, wieki całe w niewoli w obec potęgi życia duszy? — a nie umarliśmy i umrzeć nie możemy, bo z mocarnego fuku kości bohaterskich naszych praocjców, z życiodajnej plasmy ich krwi, w męczeńskiej ofierze przelanej, brała dusza polska przebogaty karm, który pozwolił jej rozrość się do tej szczytnej potęgi, jaka się w kulturze polskiej przejawia.

I śmiem twierdzić, że nigdy jeszcze na stworzenie jakiegokolwiek kultury nie złożyło się tyle szlachetnych, więcej dostojnych, pojęciu boskości bliższych pierwiastków, jakimi się właśnie kultura polska poszczycić może.

Mieliśmy aż do upadku Rzeczypospolitej bogatą kulturę, przeżywalismy i przetrawialismy w niesłychanie szybkim rozwoju kultury Zachodu, na oścież były otwarte podwoje polskich dworców i miast dla jego uczonych i artystów.

Już Kazimierz Wielki uważał za swoje najwyższe posłannictwo kulturę Zachodu zaszczerpić na polskiej ziemi i on to wykreślił kulturalne granice dla Polski, która odtąd nierozzerwalnie została przyłączoną do Zachodu; on zbudował szeroki, bity gościniec, którym wszystkie skarby wiedzy, sztuki i całej kultury i cywilizacji Zachodu do Polski napływały.

Jego to zasługą, że w Polsce nastąpił niesłychany rozkwit budownictwa, artystycznego przemysłu, że modrzewiowe kastele zastąpiły silne mury warownie, na miejscu drewnianych kościółków powstawały przedziwne tury gotyckie — szlachetne, niedościgłe wzory ceglanego gotyku — po miastach wznosiły się wytworne kamienice bogatych patrycyuszów, niemieckie, bogato rozwinięte snycerstwo i malarstwo wyparło z kościołów, zamków królewskich

i burgów rycerskich niedołążne, bizantyjskie malowidła, a Kraków, bogata metropolia zaborczych wysiłków duszy polskiej, by od razu stanąć na szczycie ówczesnej kultury, pod koniec panowania Kazimierza Wielkiego zapewne nie wiele się różnił od cywilizacyjnych i kulturalnych środowisk sąsiednich Niemiec.

By jednak świadectwo minionych dni nie zagięło, pozostały po dziś dzień dwa przewspaniałe pomniki ówczesnej kultury, jeden na Zachodzie: Norymberga — drugi podonczas na dalekim Wschodzie: Kraków.

I Kazimierz Wielki stworzył krakowskie „studium generale“ — wszechnicę, wzorowaną wprawdzie całkiem według wzoru bolońskiego uniwersyteta, ale obdarzoną takimi przywilejami i taką swobodą wykładu nauk, że już za Władysława Jagielly słynęła jako jedna z najpierwszych w Europie.

I naród, który najpóźniej odnalazł swoją przynależność do kultury i cywilizacji Zachodu, najpóźniej, a może i najrychlej z wszystkich narodów, które co dopiero wkróczyły w dziedzinę historii wszechświata, uświadomił sobie swą nierozzerwalną z nią łączność, w jednym stuleciu przyswoił sobie wszystkie jej bogactwa, wszystkie jej zdobycze, na które złożyły się długie wieki powolnego i mozolnego rozwoju.

Wprawdzie to kultura z drugiej ręki — gotowy już nabytek, z którego już Polska swobodnie pełne-

mi rękoma czerpać mogła — a na co się w ościen-nych państwach wieki całe wysiłały, to już jak doj-rzały owoc spadło na łono Polski, — ale wysoce znamiennem dla duszy polskiej, to jej zdumiewająca wprost pojemność, niesłychana łatwość, z jaką sobie kulturę Zachodu przyswajała, — a co najważniejsze: chciwie ją w siebie wchłaniała i tak ją doszczętnie przetrawiła, że bez przeszkód mogła wsiąknąć w cały organizm życia duchowego Polski, stać się jego organiczną i integralną podstawą.

Tu już widnieje zasadnicza różnica pomiędzy duszą polską a rosyjską.

To, co Kazimierzowi Wielkiemu z łatwością przyszło, by w duszy młodzieńczego jeszcze narodu zaszczerpić kulturę Zachodu, bo dusza ta od samego początku — niejako heliotropicznie — była skiero-wana na Zachód i z zdumiewającą szybkością, chciwą niemal zachłannością wchłaniała w siebie „, a d a e - q u a t “ — pierwiastki jego kultury i organicznie je sobie przyswajała, to nie udało się Piotrowi Wielkiemu trzy wieki później, który własną nieokrze-saną i barbarzyńską ręką zdołał co najwyżej obtyn-kować duszę swego narodu, oblepić ją cienką war-stwą gipsu i sztuku, ale biada temu, ktoby tylko lekkim młoteczkim o tę sztuczną powłokę uderzył: dziś jeszcze po najlżejszem uderzeniu warstwa gipsu, tynku i misternej sztukaterii odpada i w całej nagości pokazuje się pierwotna, odporna dusza Mongoła, która tak nierozzerwalnie jest związana z Wschodem,

że ani jednego istotnie kulturalnego, wewnętrznego pierwiastku kultury, głęboko przez siebie znienawidzonego, „zgnitego“ Zachodu organicznie sobie przyswoić ani też przetrwać nie zdołała.

Z niewiarogodną szybkością i łatwością osiągnęła Polska, najmłodsze państwo Zachodu, szczybel tej samej wysokiej kultury, na który inne państwa z ciężkim mazurem w uciążliwej pracy długich wieków wspiąć się zdołały.

Tryumfalny rok 1363, kiedy to cesarz niemiecki Karol IV wkroczył w bramy Krakowa i z niesłychanym dworskim przepychem, stanowiącym podziw całej współczesnej Europy, przez Kazimierza Wielkiego i jego dworzanina Wierzyńka podejmowany został — to nie tylko jakieś choćby najpyszniejsze dworskie święto zaślubin wnuczki królewskiej, to równocześnie lojalne uznanie Polski przez Zachód jako równorzędnego i równouprawnionego mocarstwa w koncercie państw ówczesnego Zachodu i to nie tylko pod względem potęgi politycznej, ale i równomiernej skali cywilizacyjno-kulturalnej.

Jakkolwiek jednakże okres piastowski był nad wszelką miarę bogaty w zdobycze kulturalne, jakie dusza polska poczyniła, nie stało jej jeszcze sił, by coś z siebie samoistnego wytworzyć, by jakimś z siebie samej porodzonym tworem zadokumentować swoje odrębne, jej tylko właściwe bytowanie w Duchu.

Snać wyczerpała swoje siły na przeżywanie i organiczne przetrwanie całego przebogatego,

nadmiernego materiału duchowego, który do jej skarbnicy napływał, by mózdz się zdobyć na własny twór.

Ale cóżby znaczył najbogatszy nawet dorobek literacki wobec olbrzymiego faktu, że język polski już w tej epoce wyrabiał się i doskonalał w cichości do tej wyżyny gramatycznej i leksykograficznej doskonałości, iż już w półtora wieku później wielki Jan Kochanowski znalazł w nim tak doskonały instrument, o takim niesłychanem bogactwie strun, takiej pojemności tonów i tęczowej barwie dźwięków, że nawet niebosięzna harfa języka starogreckiego pod względem doskonałości i wykwinętego czaru najdelikatniejszych odcieni uczuć i wrażeń dorównać mu nie mogła.

A cud ten dokonał się już w czasie, kiedy język angielski i niemiecki dopiero z krępujących powija-ków różnorodnych dyalektów do ogólnej piśmienniczej mowy wyzwalać się począł, a język francuski jeszcze się nie był ustalił i na dwie strony się chybował.

I tym najważniejszym, kulturalnym czynem, jakim jest ukształtowanie języka, wydoskonalenie go do najwyższych granic, których ogromu badacze innych języków pozazdrościć nam mogą i zazdroszą, o ile są w stanie całe jego bogactwa objąć, wyprzedziła Polska Europę o całe wieki.

Pod koniec wieku XV słabnie wpływ kultury niemieckiej na Polskę, a rzecz zastanowienia godna, że Grunwald był nie tylko polityczną porażką politycznej potęgi Niemców w Polsce, uosobionej przez krzyżactwo, ale równocześnie ciężką porażką wpływu kultury niemieckiej na duszę polską.

Szedł jeszcze wprawdzie bity, prosty szlak kulturalny z Norymbergii do Krakowa, którym się przelewała od wieku ogromna fala niemieckich snycerzy, rzeźbiarzy, malarzy, uczonych — aż ponad siły znajdowali w Polsce zatrudnienie i bogactwa taki Jan Viszer, Veit Stoss, uczniowie Adama Krafftta, złotnik Jamnitzer i tyle setek innych pomniejszych, na których prac ślady na każdym kroku w Polsce nadwiślańskiej się napotyka, ale kultura w Polsce stała już na tej wyżynie, że mogła obcych mistrzów zatrudniać, podziwiać, bogactwami ich obsypywać; ale już nie z tą pokorną uległością autochtona, zgwaltowanego przez najeźdźcę, korzącego się ucznia pod jarzmem mistrza, raczej z pańskim gestem pracodawcy-magnata w obec sił, jakich na własnym gruncie na razie znaleźć nie mogła.

Teraz już Polska nie przyjmowała bezkrytycznie, ale narzucała obcemu artyście własną swoją fanta-

zyę, bujność własnych pomysłów i ten niepomierny temperament, jej jedynie właściwy, który mógł p. Słasiaka wprowadzić na kulturalno-krytyczne manowce i kazać mu na gwałt z Veifa Stossa robić Polaka!

I wpływ niemieckiej kultury słabł w miarę, jak przybysze z Niemiec doszczętnie się wynarodowiali i z czasem przez niepojętą, wielmożną siłę duszy polskiej w organizm narodowy wchłonięci zostali.

I tu znowu nasuwa się olbrzymia różnica pomiędzy potęgą duszy polskiej a duszy rosyjskiej.

Kazimierz Wielki nie lękał się germanizacji Polski, gdy nie tylko pozwalał na olbrzymią imigrację Niemców, ale przeciwnie: wszystkimi siłami ułatwiał im bezprzykładną w dziejach kolonizację w Polsce. Intuicyą geniusza przeczuł potęgę duszy polskiej, która z równą łatwością zdoła wchłonąć w siebie i organicznie przetrawić obcą kulturę, wssać z niej soki jej potrzebne, a nieużytki wypluć, jak zaasymilować obce żywioły narodowe, kazać im — nawet bez najmniejszego przymusu i gwałtu — rozplynać się w szerokim, mocarnem łożysku życia duszy polskiej.

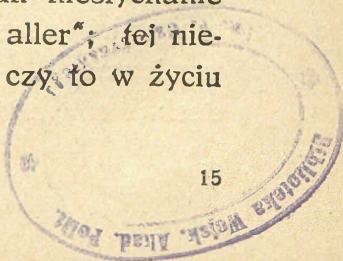
Przed tą asymilacyjną potęgą duszy polskiej korzył się w kilka wieków później żelazny kanclerz, jej się obawiał i całą swą siłę przeciwko niej kierował.

Tysiące najprzedniejszych rodów patrycjuszy niemieckich dobrowolnie się polsczyło już w drugiej generacji osiągnięcie klejnotu szlacheckiego w Polsce

stało się najgorętszym marzeniem i wytężonym pragnieniem obcokrajowców, a wywdzięczając się wzajem, ukochali nieraz swoją przybraną ojczyznę większą jeszcze miłością, aniżeli tubylcy, tęskniący zawsze za nieznanymi krainami, głodni i chciwi nowych wrażeń i przeżyć.

Kazała wprowadzić Kazimierzowi jego wielką mądrość polityczną stworzyć główne sądy w Krakowie i Kaliszu, by zapobiedz wichrzonom obcych kolonistów przez odwoływanie się do sądów ich macierzystych miast, ale i tego nie byłby był potrzebował, bo pomimo tej zaradczej przeczności, napływ kolonistów niemieckich — uczonych, artystów i rzemieślników wszelkiego rodzaju, raczej się jeszcze wzmógł, aniżeli osłabł, bo jeżeli w tym czasie jakkolwiek naród mógł się nie tylko kulturą, ale i na on czas wprost zdumiewającą cywilizacją poszczycić, to właśnie naród polski.

Nigdzie w całej Europie nie znalazłbyś podobnej tolerancji, współczucia z uciemiężonymi i prześladowanymi. Czyż potrzeba jeszcze bez końca opowiadać o nieskończeniu chrześcijańskim czynie Kazimierza wobec żydów? — Nigdzie tyle sprawiedliwości i głębokiej etycznej miary wobec upośledzonych, jak za czasów „króla chłopków“, a nawet zgubnego w swoich skutkach, a tak niesłychanie polskiego: „laissez faire — laissez aller“; tej niezmiernie swobody i złotej wolności, czyż to w życiu politycznym, czy też duchowym.



Znamiennym dla tego najważniejszego czynnika w wolności i swobodzie kultury polskiej jest fakt, że wszechnica krakowska według historyka okultyzmu w Europie, Kiesewettera, posiadała jedyny na Zachodzie wydział dla „czarnej“ magji.

A istotnie nie skąpiła Polska gościny ani „czarnym“, ani „białym“ magom.

Gościł Kraków w swych murach i Paracelsusa i Corneliusza Agrippę i John Dee i Aleksandra Sethona — i tylu, tylu innych, którzy później na dworze Stefana Batorego mieli torować pierwsze drogi dla przyszłej wiedzy: chemji i fizyki.

Całkiem inaczej reagowała dusza rosyjska na wpływ kultury Zachodu — cztery stulecia później!

Wprawdzie otworzył Piotr Wielki na oścież bramy swego imperium dla kultury Zachodu. Olbrzymią falą zalała powódź niemieckiego kolonizatorstwa Rosję — ale był to nowy zalew obcego plemienia w niczem się nie różniący od potopu, którym Waregowie, Wikindzy czy też fińskie plemiona już przed wiekami były Rosję zalały. Dusza autochtoniczna zdołała jedynie narzucić swój język najeźdźcom, ale z ich kultury nic w duszę rosyjską wsiąknąć nie zdołało, ani też z obcej nic brać nie chciała.

Dwie całkiem sobie obce kulturalne warstwy spoczęły na sobie, jedna na drugiej, bez wszelkiej możności zespolenia się z sobą i przenikania się wzajemnego, — i to, co dla Polski było rozrostem, deską rozpędową dla dalszego rozwoju, stało się

dla Rosji rozferką i niebezpieczną zaporą dla ukształtowania się duszy „istjenno“ rosyjskiej.

Zaborcza kultura niemiecka zapanowała wszechwładnie nad tubylną azjatycką kulturą, w żaden sposób nie dającą się pogodzić z pierwszą. Silniejsza niemiecka ujarzmiła słabszą azjatycką i stworzyła rząd!

I stąd piekielny, niczem nie dający się wypełnić rozłam między rządem rosyjskim, — obcym, nawskroś germańskim — a narodem rosyjskim, który od pierwszej chwili swoją wyłączną, nawskroś wschodnią kulturą stanął w zaciekle nieprzyjaznym i odpornym przeciwieństwie wobec tej obcej, znienawidzonej kultury Zachodu, która mu się jako „rząd“ narzuciła.

Tem się tłumaczy zdumiewające zjawisko, jakie tylko w Rosji widzieć możemy: Rząd jest największym wrogiem narodu i na odwrót.

Streszczam się:

Jeżeli dusza polska ochoczo, z zdumiewającą szybkością i jakimś podziemnym „samo przez się rozumie“ zdołała kulturą Zachodu nasiąknąć, w sobie ją przetrwać, organicznie do swego bytu przystosować, a wreszcie tą wielką zdobycz opanować i nią według własnego uznania i samowolnego „widzimisię“ rozporządzać, co najlepszego z niej wziąć, nieużytki odrzucić, samorzutnie się z nią ostatecznie rozprawić, gdy tamowała drogę własnego samoistnego rozwoju — to przeciwnie: ta sama kultura, gwałtem i przemocą i barbarzyńskim despo-

tyzmem narzucona duszy rosyjskiej, z wrogą nienawiścią odrzuconą zostawała, a jeżeli wreszcie opór był za słaby, by móżdżek wytrzymać wściekły, przeważnie politycznymi względami sycony napór kultury Zachodu, wtedy dusza rosyjska została wepchniętą w ślepią kizkę bez wyjścia, bez wszelkich możliwości rozwoju — ślepią ulicę, w której w znak rozłożona skomli fołstojowskiem:

„Nie sprzeciwić się złemu!”

O cztery wieki wyprzedziła kultura polska kulturę rosyjską, sztuczną, przemocą Rosji narzuconą, (boć jej własna kultura jest całkiem inną) — stąd możność porównania czynu Kazimierza Wielkiego a Piotra Wielkiego i możność rozejrzenia się w przepastnej różnicy między duszą polską a rosyjską.

Z jednej strony niesłychana aktywność, rzutkość, giętkość i zachłanna prawie zaborczość w dziedzinie ducha, mocą których to czynników dusza polska nie tylko nie podlegała niewolniczo obcej kulturze, ale ją całkiem w siebie wchłonać, dla swych odrębnych, jej tylko właściwych potrzeb, nagiąć i ujarzmić, a nawet daleko poza nią w rozpędzie swej siły wybiedz zdołała — z drugiej strony bierność, skamieniała oporność, azjatycki konserwatyzm, który jest wrogi wszystkiemu, co doń z zewnątrz przychodzi: trwający w swoim uporze, a równocześnie jarzmiony i gnębiony obcą kulturą, której przyjąć nie chce i jej się wszystkimi siłami opiera, której przyjąć nie

może, bo jest mu obcą i zgniłą, a równocześnie nie-
ma nic w sobie, coby jej mógł przeciwstawić.

Najwspanialszym i najtragiczniejszym profes-
stem tej duszy rosyjskiej w dobie nowoczesnej —
to Dostojewski!

Tu jest ten bezdenny, graniczny rów, oddziela-
jący kulturę polską od rosyjskiej — graniczna, niczem
nie dająca się wypełnić fosa między Zachodem, któ-
rego graniczną miedzą jest Polska, a między słu-
pami granicznymi pierwszego państwa, do Azji
przylegającego — Rosją!

Szybko uporała się dusza polska z kulturą nie-
miecką. Wzięła z niej to, co dla wzbogacenia
jej było potrzebne, rozrosła się jej bogactwem, ale
już jej nie wystarczała. Dusza polska terminowała:
mistrz, u którego się dotychczas uczyła, już jej nie
starczył — nie to, żeby mistrza już była przewyż-
szyła — bynajmniej! tylko świadoma tego, co dla
jej narodowego bytu potrzebne było, a czego w nie-
mieckiej kulturze znaleźć nie mogła, przerzuciła się
od razu — może nawet z szkodą powolnej, syste-
matycznej ciągłości rozwoju kulturalnego — do kul-
tury, którą renesans włoski właśnie był stworzył.

I w tym znamienym fakcie, że kultura polska
znalazła łączność z włoskim humanizmem, zanim
tenże zdołał dostać się do Niemiec, tkwi zasadnicza

cecha niespokojnej, wiecznie głodnej, coraz wyższej i doskonalszej wiedzy spragnionej duszy polskiej.

Duch Polski, „wieczny rewolucjonista“, wywracał stare wartości na ręby, nowych w sobie jeszcze odnaleźć nie zdołał, ale bezustannie szukał ich wszędzie naokół, aby potem — coraz śmielszy i butniejszy — dokonywać ogromnych wywrotów.

Na progu wielkiego przełomu między kulturą niemiecką, a włoskim humanizmem stanął wielki kanclerz Władysława Jagielly: Zbigniew Oleśnicki.

Jego ściśle stosunki z Eneą Silvio, późniejszym papieżem Piusem II, ułatwiała gruntowna znajomość literatury łacińskiej — a Cicero, Vergil, Ovid, Liwiusz lub Tacyt równie dobrze byli znani uczonym polskim, jak włoskim. Równocześnie powiał nowy, swobodny, może nawet od pewnych heretycznych śmiałości niezbyt wolny prąd na wszechnicy krakowskiej, a rewolucjonistyczna scholastyka teologiczna polska może sobie na większe jeszcze wybryki pozwalała, aniżeli głoszona w paryskiej Sorbonnie, gdzie Jacobus Parisiensis mógł zakończyć swój pean na cześć Chrystusa: „O mały Jezusie, mały Jezusie — także, jakżem Cię wywyższył, mógłbym Cię jeszcze więcej poniżyć!

Niesłychana naonczas swoboda i wolność nauczania w wszechnicy krakowskiej ściągnęła nieprzeliczone zastępy scholarów z całej Europy, a przede wszystkim z Niemiec — wieść o wszechwładztwie klasycznej filologii i filozofji na jej katedrach szybko

się rozniosła po wszystkich krajach. Scholastyczną teologię poczęły wypierać nauki przyrodnicze, matematyka i astronomja i astrologja i tak się stało, że właśnie w Polsce dokonały się dwie najpotężniejsze rewolucje w dziedzinie wiedzy i dziedzinie myśli ludzkiej.

Tu wywrócił Mikołaj Kopernik, który u stóp astrologa Wojciecha z Brudzewa, (Albertus de Brudzewo) w roku 1491 słuchał wykładów astronomji i matematyki, doszczętnie system ptolemeuszowski i Kraków był na długo przed Wittenbergią istotną kolebką reformacji.

To ostatnie twierdzenie wyda się może na pierwszy rzut oka paradoksalnem, ale jeżeli się zważy, że taki „commis voyageur” humanizmu, słynny liberżyn, rozpusznik, a równocześnie naonczas niezmiernie uczony człowiek, Konrad Celfes, poeta laureatus, zażywał w Krakowie zdumiewającego miru, jeżeli się zważy, że taki banita, Filip Kallimachus Buonacorsi, dawnoby głową przyplacił swoje namiętne wycieczki przeciw papieżowi, gdyby go nie było osłoniło potężne ramię arcybiskupa lwowskiego, Grzegorza z Sanoka, z którym pospół podcina korzenie scholastycznej teologii i tworzy załazek wielkiego dzieła odrodzenia, jeżeli przeczyta się uważnie „Vigilantium somnia”, wtedy nietrudno będzie zrozumieć, że pierwszy impuls do reformacji wyszedł ze zdumiewająco wolnościowej, śmiałej, bufnej, do wszystkich przewartościowań i wywrótów pohopnej wszechnicy kra-

kowskiej. I fak to, co zaległo się w Krakowie, urzęczywiściło się w czynie w Wittenberdze.

Tylko w kraju, w którym na kilka wieków przed Fryderykiem Wielkim każdemu było wolno żyć i wierzyć, jak mu się podobało („jeder kann nach seiner eigenen façon selig werden”), gdzie maksyma, w innych krajach obowiązująca: „cuius regio eius religio” była prostym absurdem, a u nas w Polsce, „wolno jak kto chce”, mógł Biernat z Lublina na długo przed Lutrem w gwałtowny sposób napadać na zasady urzędowego kościoła katolickiego, wypisywać ostre inwektywy przeciwko papieżowi, mógł Leonard Słończewski w kościele marjackim w Krakowie napadać niepohamowanie na papieża i duchowieństwo, a mimo to zostać biskupem, a wielki Jan Łaski, zagorzały czciciel Erazma z Rotterdamu, porównie z Tomickim i Krzyckim, mógł swobodnie szerzyć dzieło reformacji gwałtowniej jeszcze od Lutra. Jakób z Ilży głosił z kazalnicy św. Szczepana w Krakowie namiętne kazania w duchu Lutra przeciw odpustom i czyścówi, a Jan Seklucjan z Bydgoszczy, ongi kaznodzieja u Marji Magdaleny w Poznaniu, wyświadczył niesłychane usługi protestantyzmowi, drukując w Królewcu katechizmy i Nowy Testament, opatrując je obficie w kacerskie komentarze i głosy protestanckie, ale nikt nie prześcignął w gwałtownych napaściach na Rzym i wszystko, co miało z nim wspólnego, Mikołaja Reja z Nagłowic w jego „Apokalipsie“, którą prof. Brückner

szczyttem prozy rejowskiej być mieni — cóż dopiero wspominać biskupa Urbańskiego, który w 1559 roku pisał, że jego przysięga papieżowi nie więcej waży jedno jako starodziejkie zaklinanie, a Rzym zowie plagą ciemności i niewoli, która się faraonowej równa. Zygmunt Stary, zbyt wytworny i kulturalny pan, by się wtrącać w sprawy sumień swoich poddanych, uważał za swoją najdosłojniejszą misję panować nad kozłami i owcami; syn jego Zygmunt August umywał sobie, jak ongi Pontski Piłat, skwapliwie od wszystkiego ręce, boć i on snadź nie wiedział, gdzie prawda tkwi, a biskup Krzycki na gwałtowne żądania, by wszcząć proces jakiejś czarownicy, odpowiedział z chytrym uśmiechem: „Jak mogę wierzyć w djabła, jeżeli zaledwie w Boga wierzyć mogę!”

Wogóle kler katolicki, zwłaszcza wyższy, zachowywał się wobec walącej się z Zachodu nawałnicy wszelakich nauk hereficznych z wzruszającą wprost obojętnością a co najwyżej z wzgardliwym wzruszeniem ramion: „Wierz sobie, w co chcesz, choćbyś nawet i w kozła wierzył, byleś mi tylko dziesięciny płacił”, mawiał Zebrzydowski, biskup krakowski; zasię kujawski, Drohojewski, radził sobie ostrożnie poczynać z wyplenianiem kłakolu, boć on żadnej pszenicy w Polsce nie widział, ani jej się nie spodziewał, możne ramię królów, Zygmunta Starego i Zygmunta Augusta, chroniło kaczerzy, olbrzymią falą z Zachodu do Polski napływających, przed trybunałem coraz zaciekłej srożącej się inkwizycji

we Włoszech, Hiszpanji; a w czasie, kiedy Francja plugawiła się rzezią Huguenotów, a w Anglii szalały orgje prześladowań innowierców, stała się Polska szeroką areną, na której rozmaite sekty i wiary bezkarnie najdziksze harce wyprawiały, stała się pieczołowitą i bezgranicznie gościnną gospodą dla wszystkich banitów i prześladowanych i wszystkich tych, których zacieklej od dzikich zwierząt na Zachodzie ścigano — stała się, jak się na Zachodzie skarżono: „kloaką, do której wszelkie rynsztoki herezji ściekały.“

Ale nie tu miejsce rozwodzić się nad dziejami reformacji w Polsce — dla historyka Polski nie widzę piękniejszego zadania, jak zapisać tę wciąż jeszcze białą kartę w jej dziejach — co psychologa duszy polskiej w tym niezmiernie ciekawym, a może najciekawszym, w fatalne następstwa tak obfitującym okresie obchodzi, to fakt współudziału najtęższej po on czas inteligencji polskiej w tym umysłowym ruchu, który z natury rzeczy musiał go raczej odpychać, aniżeli przyciągać.

Oschła nauka Lutera, odarta z wszelkiej fantazji posługująca się całkiem płaskim materjalizmem w swoich wywodach, nie o wiele co przewyższająca ciasny materjalizm dawnych Katarów i Albingensów, rewolta owczarskiego rozumu przeciw Objawieniu, wroga wszelkim pozaziemskim uniesieniom, z fanatyczną zaciekłością niszcząca wszelkie nadwartości życiowe, które się, czy to w Sztuce, czy też w wie-

rze w Kościół Świętych i Cudotwórców objawiają tak nie licowała z bujną, bogatą umysłowością polską, tak się sprzeciwiała najgłębszym i najistotniejszym instynktom narodu polskiego, że wątpić przynależy, jakoby protestantyzm polski był jakimś wewnętrznym odruchem, wywołanym duszną, nieprzezwyteczną potrzebą: protestantyzm polski trzeba raczej uważać jako odruch nawskroś społeczny, wywołany przez tak znamienity rys w umysłowości polskiej; potrzebę przeczenia, pragnienie zaznaczenia swej indywidualności przez bunt, wszystko jedno, czy przeciw Papieżowi, czy też własnemu królowi, niesporny, nierządny, a jakby się dziś powiedziało, anarchistyczny rozpęd umysłowości, nie dający się ujarzmić ni żadnym prawem Boskiem, ani ludzkim. Nie była to rewolucja, która by duszę całą jakimś huraganem okręciła i nią w niej posadach trzęsła, nie była w stanie wywołać ani tego zacieklego religijnego fanatyzmu, co w Niemczech, ogarnąć całego społeczeństwa, wywołać strasznych wojen chłopskich, dać pohop do wojny trzydziestoletniej... Nic z tego!

W dziejach umysłowości polskiej objawia się ta najpotężniejsza rewolucja w dziejach duszy ludzkiej jako przejaw nieokiełznanego pragnienia wolności, zacieklego, ślepego „Liberum veto!”, jakim indywidualizm w Polsce zawsze i wszędzie się z pod ogólnych praw wyrывało i je samowolnie deptało. Pozorny paradoks, który uprzednio wypowie-

działem, że w Krakowie szukać przynależy początku reformacji, nie jest tak nieprawdopodobny.

Możnowładczy indywidualizm w Polsce mógł łatwo w pobliskiej Wittenberdze wywołać rozpęd wolnościowy, ale, kiedy w Niemczech ogarnął sumienia, raz podbudzony płomień rozżagwił do olbrzymiego pożaru i masy całe od samego dna w siebie wchłonął, pozostał w Polsce zasadniczym czynnikiem duszy polskiej, któremu się podobało w nowej i dla hulaszczego jego rozmachu najdogodniejszej formie się przejawić.

To „veto“ jakie się w reformacji w Polsce pojawiło, jako zabezpieczenie prawa indywidualnego, jest tylko w drobnej części „zaprzeczeniem z Ducha“ — u Łaskiego może, lub Lubomirskiego a już chyba całkiem nie u Górków, Ostrorogów, Leszczyńskich, Radziwiłłów — a znamiennem jest, że Arjan, dla których ich nauka była istotną rzeczą sumienia, istotnym „zaprzeczeniem z Ducha“, musiał Hozyusz brać w obronę przeciwko protestantom, którzy ich więcej niż „papiesców“ nienawidzili.

To nie ten wielki, dumny i święty „Anioł-Veto“, o którym Słowacki mówi, który staje się inicjatywą i wywołaniem nowego świata — ale autokratyczny, anarchiczny, buntowniczy pierwiastek w duszy Polaka, on „Szafan-Veto“, który reformacją posługiwał się jako środkiem do bezwzględnego urzeczywistnienia zupełnie cielesnej i pożytkowej idei politycznej.

To też, gdy już, już zdawało się, że „Veto“ duchowe, jakim była reformacja na Zachodzie, w czy- nie się objawi w Polsce —

„wiatrem nadziane pękły nadzieje“..

Z tej strony rozpatrywana reformacja w Polsce jest tylko dowodem ogromnej rzutkości jeszcze młodocianego umysłu polskiego, jego zachłannej chci- wości, z jaką łaknął wszelakich nowinek, interesuje jako dowód, do jakiego stopnia Polska w całym ruchu umysłowym na Zachodzie gorący, chociaż dość płytki udział brała, jak już silnie się rozwiel- możniło prawo indywidjum, które ważyło się nawet na zrywanie najsilniejszych więzów, wiążących je dotychczas z całym społeczeństwem, na zrywanie z całą tradycją, tak przemożną w Polsce, z wiarą ojców i praocjów — ale niesłychanej, zbawiennej wprost doniosłości staje się reformacja, gdy się zważy jej wpływ na rozwój literatury polskiej, a przedewszystkiem języka polskiego.

W miarę, jak niezachwiana dotąd potęga Ko- ściola katolickiego pod chwilowym obuchem taranów reformacji w Polsce chwiać się poczęła, jęto rugować z pisanego słowa łacinę ku wielkiemu zgorszeniu wytwornych humanistów — a jeżeli niedawno jeszcze utyskiwał Rey, że „postronni narodowie język, a po- podobno i dowcip polski na małej pieczy mają, jako też z łaski Bożej nie bardzo się jest czem chlubić, gdyż niedbalszych ludzi niemasz, jako Polaka, coby się w swym języku mniej kochali“ — jeżeli nawet

cudzoziemiec, drukarz-nakładca Ungler, mógł tę zawstydzającą dla Polaków reprimendę wystosować: „Będąc w mieszkaniu, a nieurodzonym Polakiem, nie mogę się temu wydziwić, gdy wszelki inny naród język swój przyrodzony miłuje, szyrzy, krasi i poleluje, czemu sam polski naród swym gardzi i brząka, który mógłby iście, jako ja słyszę, obfитоścią i krasomową z każdym innym porównać” — to teraz po chwilowo tryumfalnem wkroczeniu reformacji do Polski, gdzie dotychczas cudzoziemiec „prasował z pilnością“ książki polskie, by ten język się „szyrzył“, widzimy wprost zdumiewający rozrost piśmiennictwa w języku polskim. Powstają drukarnie w Królewcu, bogato fundowane przez księcia pruskiego Albrechta, w Pinczowie, w Wilnie, Brześciu Litewskim, do nowego życia budzą się na wpół już zamarłe drukarnie w Krakowie i Lwowie, język polski rozwija się do takiej doskonałości, że znowu obcokrajowiec, Cyryak Moller, który tłomaczy zjadliwy pamflet Marcina Krowickiego przeciw Rzymowi, „Apologję“, na język niemiecki, czuje potrzebę uniewinnienia się w swej przedmowie, że język jego nie odpowiada ani w części co do piękności i giętkości wyrażenia się językowi polskiemu.

Ta przeolbrzymia zasługa reformacji polskiej wiekopomną zostanie:

Wkroczeniem jej do Polski rozpoczyna się tak zw. „złoty okres“ piśmiennictwa polskiego. Pisząc o kulturze polskiej, nie chodzi oczywiście o wymie-

nianie setek nazwisk autorów i ich dzieł — tych mamy poddostałkiem, gdybyśmy chcieli porównywać wyżynę kultury polskiej z obcą — chodzi tu jedynie o zasadnicze, twórcze rzeczy duszy polskiej, które się stały na odwrót dorobkiem duchowym całej Europy.

Przy takim zwycięskim pochodzie duszy polskiej można już spokojnie pominąć twórców choćby tej miary, co słynny „poeta laureatus“ Klemens Janicki, można pominąć i Krzyckiego i Jana Dantyszka i Szymonowicza i Klonowicza, na jednym tylko olbrzymim zjawisku dłużej zastanowić się przynależy: Janie Kochanowskim, który był niejako soczewką, w której się promienie słońca całej ówczesnej kultury europejskiej zbiegały.

Ale nie dla tego słać go nam przynależy, że był jednym z najuczeńszych mężów swego czasu — nie dla tego, że stał wysoko ponad wszystkimi współczesnymi latinistami-humanistami, ale dla tego, że w nim po raz pierwszy z samorzutną potęgą przejawiała się już nie ta recepcyjna, z śmiałym rozmachem ponad pierwowzór wybiegająca, z bezwzględnym rozpędem młodzieńczości stare wartości wywracająca dusza Polski, ale ta istotna, na tyle już bogata, by mózdz sama z siebie nowe wartości wytwarzać.

Jan Kochanowski jest pierwszym twórcą Polski w najistotniejszym tego słowa znaczeniu. — W zdumiewającej tej postaci skryzalizowała się cała ówczesna kultura polska, ale już nie ta naśladowcza, wytworna wprawdzie, na każdym kroku dorównująca pierwowzorom, ale zawsze jeszcze wodzona na pasku starszej kultury Zachodu: jeno już wyzwolona, rodzima, samoistna i już o własnych siłach mocno na ziemi ojczystej rozparta.

Artysta o rozległej wiedzy, głębokiem wykształceniu, rzutki, różnostronny, jak rzadko który między współczesnymi humanistami tak w Polsce jak i za granicą — (nie widzę żadnego, z którymby się dał porównać) — obdarzony niezwykłą głębią myśli, uczucia i szerokiego, li tylko subtelną wytwornością formy krępowanego polotu fantazyi, zapalony wielbiiciel antycznej kultury, a równocześnie przyjaciel Ronsarda, którego jednakowoż siłą geniusza przewyższał, łączył Kochanowski w sobie obok zalet, cechujących najwybitniejszych artystów renesansu, wszystkie te czynniki, które się na tworzenie kultury polskiej dotychczas złożyły. Jego twór jest jej dokonaniem i bezwzględną syntezą pod koniec wieku XVI-go.

Co jednakowoż wyodrębnia Kochanowskiego od wszystkich jego współczesnych, to właśnie to, że wybiegł daleko poza czas swój i poprzez dwa jałowe

wieki upadku kultury polskiej rzuca swój olbrzymi cień w wiek dziewiętnasty.

Pomiędzy Kochanowskim a Mickiewiczem niema właściwie kulturalnej przerwy: to, co nazywamy „upadkiem“ naszej kultury pod koniec tak zwanego „złotego“ okresu, to tylko chwilowy wypoczynek duszy polskiej; a gdzież to on nie nastąpił w całej Europie po niesłychanych wysiłkach duchowych w czasie renesansu? — To tylko cofnięcie się wstecz o parę kroków, by się przygotować do tem większego rozpędu.

Tem jest Kochanowski tak potężny i tak wyjątkową postacią w naszej literaturze, że moglibyśmy z niej spokojnie dwa po nim następujące stulecia wykreślić, a ani na chwilę nie stracilibyśmy jej organicznego związku, jej niczem nie dającej się przerwać ciągłości, jej na coraz szczytniejsze wyżyny pnącego się rozwoju.

A ten zdumiewający fakt dokonał się mocą bezmiernej pojemności duszy polskiej, tej samej duszy, która w przeciągu dwóch wieków za czasów epoki Jagiellońskiej wkroczyła w dziedzinę kulturalnych mocarstw zachodniej Europy, a pod względem cywilizacyjnym ją przerastała.

Starczy przypomnąć dzieło Andrzeja Frycza Modrzewskiego, „De emendanda republica“, w którym domaga się równouprawnienia wszystkich obywateli i stanów wobec prawa — myśl, którą dopiero

wielka rewolucja francuska urzeczywistnić zdołała, a na którą niktby się w onym czasie nie był odważył.

Otóż, ta pojemność duszy polskiej, jej rwący się wiecznie naprzód rozmach, jej chciwe pragnienie coraz to szerszych horyzontów — to wszystko razem znalazło w duszy Kochanowskiego tak niepomiernie spotęgowanie, że o całe wieki wyprzedziła swój czas i ciągłość już naszej własnej, samoistnej kultury, tak ciężko w czasach politycznego upadku Rzeczypospolitej zagrożonej, w jej najistotniejszych podstawach uratować zdołała.

I w tworze Kochanowskiego odnajdujemy już wszystkie znamiona o dwa wieki późniejszego romantyzmu: głęboki patos uczuć, ich subtelność, delikatność i rycerską tkliwość, gorącą miłość Ojczyzny, która się w religię przeradza. Cały najgłębszy pokład duszy polskiej tu już w całym swym szlachetnym bogactwie widoczny: jej żarliwość i głębia skupienia, bohaterska powaga i wielkopańska niezawisłość, pokora (istotne kryterjum głębi duszy), współczujące wnikanie w świat zewnętrzny i najwięcej zespolone z nim współżycie, a równocześnie dumne poczucie swej wolności, nie wkraczające w obręb praw żadnej innej. Wszystkie te cechy, które wytworzyły naszą całkiem odrębną, całkiem samoistną, dla obcych mało przystępną i zrozumiałą kulturę nowoczesną, znajdujemy już w tworze Kochanowskiego.

Brak w nim tylko tej najznamienniejszej cechy, krwawiącego się wiecznie stygmatu polskiej kultury wieku dziewiętnastego: onego rozpaczego buntu, ciężkich rozterek i wewnętrznych rozłamów.

I, aby te wszystkie ukryte skarby duszy polskiej ujawnić, wyłowić i w całym ich bogactwie ukazać, na to stworzył sobie Kochanowski z świetnie już rozwiniętego języka polskiego tak przebogaty instrument, że niema nawet najdelikatniejszego uczucia, którego by nim wyrazić nie zdołał. Było to, jakby dla tego wszystkiego, co w duszy jego się działo, nie potrzeba było mozolnego pośrednictwa za pomocą języka: nie potrzebował w ciężkim trudzie pracować nad wypowiedzeniem swych najtajniejszych uczuć; każdy najdelikatniejszy odcień wrażeń objawiał się bezpośrednio w jego słowie z tą samą łatwością i niepomiarłą wyrazistością, jak parę wieków później u Szopena w tonie, lub u Matejki w barwie.

Czem był Dante dla języka włoskiego, tem w równej mierze Kochanowski dla polskiego.

Polska „lingua vulgaris“, którą jeszcze Rey prostaczo i niedołąźnie władał i bohaterskie boje z nią staczał, stała się nagle wytworną, szlachetną, niezmiernie subtelną harfą o nieprawdopodobnem bogactwie strun, zdolnych oddać w najczystszych odcieniach najdelikatniejsze zabarwienie uczuć duszy polskiej.

Właśnie duszy polskiej, bo geniusz narodu i geniusz języka jego: to rzeczy współmierne. Głę-

biej nie można istoty języka uchwycić, jak to uczynił dziś już zapomniany mistyk francuzki, Balanche w jasnowidzącym aforyzmie: „Le génie d'un peuple et le génie de sa langue sont choses identiques.“

Zdawałoby się, że w hyperbolach przemawiam, a ja za mało powiedziałem na cześć tego języka, który Kochanowski w nieskazitelnej czystości piśmienictwu współczesnej nam kultury przekazał: zaiste miał ten potężny geniusz aż nadto powodów, kajać się przed Bogiem z wdzięczną pokorą w swym wspa-
niałym hymnie: „Czego chcesz od nas Panie za
Twe hojne dary?“

Niepojęte są drogi, któremi tajemnicza dusza Narodu kroczy — niepojętem, dla czego gwałtownie rozmonarszy się w przeolbrzymim majestacie blasku i potęgi, jak również niepojętem, gdy w ciemny zmierzch nocy się spowija i zanikać się zdaje. Zanik to widoczny dla najgłębszych, najdalsze horyzonty obejmujących umysłów, zanik wywołujący w nich grozę i przerażenie i z tem tragicznem uczuciem żegnali najwięksi mężowie w Polsce zachodzące słońce kultury duszy polskiej: Stefan Batory, Jan Zamoyski i wielki proroczy Ezechiel Polski: Piotr Skarga.

Po nich nastąpiło to, co ogólnie „upadkiem“ kultury polskiej nazywamy.

Czemu raczej nie nazwać tego okresu „upadku“ koniecznością chwilowego wypoczynku po niesłychanych wysiłkach co dopiero przebytej drogi, dwuwiekowem, a więc tylko śmiesznie krótkim błąkaniem się duszy polskiej po rozdrożach, manowcach i bagnach? — Może to, co przez dwa wieki tego „upadku“ w historii kultury polskiej widzimy, to tylko bańki moczarne, świadczące jedynie o jakiejś mozolnej, twórczej pracy, dokonywającej się w łonie ziemi — może ten „upadek“, to tylko skalisty, jałowy ugór, pod którym w głębi dusza swój podziemny tunel w nieskończenie ciężkim frudzie wierci, by w nowej potędze się objawić — „upadek“ ten, to może tylko

coś, co dałoby się porównać z zjawiskiem w naturze, jakim są jeziora górskie:

Wyżej położone jezioro szuka sobie odpływu, znajduje go w głębokich podziemnych fundamentach skał, wieki i wieki całe przeciska się przez wąziutkie szczeliny, przez cieniuteńkie warstwy międzyskalnego iltu, aż rzuca się nagle potężnym wodospadem w czelustne głębie, by znowu rozlać się w rozkosznej dolinie w blaski chwały i najczystszą piękność przebogate jezioro i tak bez końca, aż wszystkie wody spłyną rzekami i ich dopływami do morza — Absolutu.

I, aby pozostać w obrębie tego niewyszukanego, ale w każdym razie choćby dydaktyczną wartość mającego porównania, wydaje mi się droga duszy polskiej jako olbrzymi strumień, poczęty gdzieś na szczytach nieznanego jakiegoś Gaurizankaru, otulonego całego mgłami ponadobłocznych mroków.

Spływa z niewidzialnych źródeł cieniuteńką strugą, sycony bezustannie wodami, z innych stron napływającymi, raz po raz sam wpada w obce łóżysko, płynie w nim przez jakiś czas, ale nadchodzi chwila, w jakiej się z tego wspólnego łóżyska, które mu tylko jako przepływ służyło, nagle wyrывa, wciąga w siebie główne bogactwo wód, nagłym rzutem zwała się w kotlinę górską, zalewa ją i tworzy rozkoszne, królewskie jezioro, kąpiące się w odwiecznym blasku słońca i wszelakiego boskiego majestatu. — Ale to tylko chwilowa przystań: do morza — Absolutu jeszcze daleko.

Więc nowe straszliwe wysiłki: w ciężkiej, tytanicznej pracy przedziera się strumień-jezioro tysiącami, miliardami włoskowatych kanalików i delikatną przeolbrzymią siecią sączących zaledwie strumyków, a drażących cierpliwie granitowe skały, aż wreszcie gdzieś głęboko pod ziemią znajduje jakiś rezerwoar, w którym te wszystkie nieprzeliczone, niepojęte siły się łączą i już teraz niczem niepowstrzymaną potęgę tworzą: wyrwają olbrzymie zasieki gładów i skał granitowych i przepożęzną kaskadą wód zwalają się znów w jakąś czelustną kotlinę i znowu rozłacza się przed zdumionymi oczyma przepych nowego, piękniejszego i bogatszego może jeszcze jeziora — ale do morza — Absolutu jeszcze daleko!

I tak bez końca!

Strumień rośnie coraz więcej, potężnieje, przez brzegi się przelewa, tworzy odnogi, nowe łożyska, aż w końcu jakąś olbrzymią Delfą w morze się rzuca — w morze wszechwiedzy, wszechmądrości, wszechogarnięcia Bytu: zlanie się z Absolutem — Bogiem.

I takąż wydaje mi się droga, którą dusza Polska gna ku morzu.

Niewidzialna, niedocieknięta z początku, gubiąca się w mrokach i mgłach niebosiężnego szczytu, który Boskości sięga — rosnąca zwolna w warłki strumień, wpływający w obce łożyska, bogacący się ich wodami, żłobiący sobie znowu własne łożysko, a nagle gwałtownymi spadami wód zlewający się w głęboką kotlinę odświętnie już na ich przybycie przygotowanego

życia społecznego: i otóż tworzy już bogate, pychy, blasku i majestafu pełne jezioro.

Nazwijmy to zjawisko, jeżeli już mózg i metoda badań jego gwałtownie wymaga rozgraniczeń: epoką „złotą“.

Ale daleko, daleko jeszcze do morza — Absolutu.

Jezioro syte blasku i chwały pragnie nowych wyřezeń, nowych wysiłków, nowych tryumfów: ryje sobie podziemne tunele i koryta, gubi się i zanika — mózg ludzki nie przeczuwa podziemnej jego pracy i „szkiełko mędrca“ nie może nigdzie odkryć tajemniczego łóżyska, w którym sobie nowego ujścia szuka i nazywa to epoką „upadku“ i „zaniku“, aż wreszcie po długiej, mozolnej wędrówce, badacz dziejów duszy polskiej staje zdumiony przed tytaniczną Niagarą jej potęgi, a nie znając ani przyczyn, ani wewnętrznych ukrytych związków tego tajemniczego zjawiska, określa je nowem mianem — tym razem: Romantyzmem!

Nie uznaję okresów w dziejach duszy narodu: jest tylko jedna ciągłość — zatracam się moim oczom, nie jestem w stanie śledzić jej krótko po sobie następującymi etapami, jak nie jestem w stanie śledzić ciągłości czasu, który bezustannie przerywam na sekundy, minuty, godziny, lata: to jedno tylko wiem, że ciągłość rozwoju duszy polskiej od Kochanowskiego do Mickiewicza, do współczesnego nam Kasprowicza, niczem przerwana nie została.

Jeżeli komuś podoba się dla mózgu naszego niepojęta, podziemną pracę duszy polskiej w pewnym okresie nazwać „upadkiem“, niech mi zechce wytłomaczyć, skąd się wziął nagle Sejm Czteroletni — skąd olbrzymia kotlina życia społecznego, w którą, jak w odświętnie przygotowany, królewski skarbiec potopem wód najczystszych zlał się duch Mickiewicza!

Rozpędową siłą tej potęgi, mocą której ciągłość kultury polskiej mimo pozornych „upadków“ na chwilę przerwana nie została, to najgłębszy, najistotniejszy czynnik w duszy polskiej:

Tęsknota!

Tęsknota, to pierwiastkowa właściwość duszy polskiej, ale nie ta nieokreślona, w białych młgawicach światła księżycowego rozlana, mdła, wąta i anemiczna, jak pędy kartofli, w ciemnych piwnicach przechowywanych i ta niezglazna i płaczliwa, jaka się w niemieckim „sentymalizmie“ przejawia, ani też ta bolesna, beznadziejna, w gęstych pomrokach odrętwiałej bezwoli i jałowych, majaczących dumaniach nad dumaniem błaznąca tęsknota duszy rosyjskiej — tęsknota polska, to żywiołowy, szamocący się rozpęd, nieokiełznany niczem rozmach, rwący się w bolesnej farganinie naprzód — tęsknota duszy polskiej ma olbrzymie skrzydła, które na chwilę nie spoczywają — krążą w okół, ponoszą w dal w rozma-

chanym pędzie, rozścielają się do krótkiego spoczynku w górze, by znowu silniejszym jeszcze łopotem wybić się w niebiosa.

Ile to zaciekłych, rozpacznych wysiłków kosztowało wrogów duszy polskiej, by jej skrzydła podciąć, osłabić, rozped ich lotu obezwładnić!

Szerzej, niż kiedykolwiek rozpostarła swe płomienne skrzydła.

Bo jeżeli w jakimśkolwiek narodzie objawił się „geniusz“, to właśnie w polskim!

Droga od Tęsknoty do Geniusza wydaje się być na pierwszy rzut oka przeskokiemy myśli — bynajmniej:

Podstawową cechą geniusza wydaje mi się siła, mocą której zbogaca niepomierne swoją świadomość.

W duszy każdego człowieka odbywają się tajemnicze cuda, ale zaledwie głuchy odgłos tych tajemnych misteryi raz poraz da się posłyszeć — w duszy każdego człowieka kołysze się i szumi podziemny ocean, ale rzadko słyszy się jego poszum — w snach, niejasnych, mglistych przeczuciach, w niepokojących tęsknotach, w porywach religijnych, uniesieniach ofiarnych: w tem wszystkim, co człowieka od ziemi odrywa, podnosi go i wyszlachetnia.

A tłomaczem tego wszystkiego, co snem spowite na dnie duszy każdego człowieka spoczywa, wykładcą fajnego Zakonu, jest właśnie geniusz.

Najgłębszą zaś tajemnicą tego zakonu w duszy Polaka to pojęcie Ojczyzny w tem znaczeniu, że dusza jednostki jest cząsteczką, atomyczną komórką

całego organizmu narodowego, a równocześnie mikro-kosmicznym ustrojem, wiernie odzwierciadlającym cały makrokosmos narodu.

Miał już tę intuicyjną świadomość w wysokim stopniu Kochanowski, ale w płomiennych, natchnionych słowach, wyrażających najdalsze granice tego uświadomienia, wypowiedział ją dopiero Mickiewicz:

„Duszą jam w moją Ojczyznę wcielony,
Ciałem połknąłem jej duszę,
Ja i Ojczyzna — to jedno!“

A w miarę im głębiej sięgał, im szersze obszary Nieświadomego zdobywał, im silniej uświadamiała mu się ta tajemnica, iż on jest narodem, a naród nim — im większym pewnikiem stawało się w nim to przeświadczenie, że geniusz całego narodu w jego własnym się objawił i on jest niejako sprawdzianem geniuszu narodu całego, rozplomienia mu się dusza bohaterską, żarliwą miłością:

„Ja kocham cały naród! Objąłem w ramiona
Wszystkie przeszłe i przyszłe pokolenia,
Chcę go dźwignąć, uszczęśliwić,
Chcę nim cały świat zadziwić!“

Przeszłe pokolenia!

Zdążamy w tem powiedzeniu do rozwiązania naszego pierwotnego założenia, co stanowi istotę geniusza:

Otóż dusza człowieka istnieje od wieczności i ku niej się kieruje — z Absolutu powstała i ku niemu dąży.

Wieki i miliardy wieków przewędrowały po-
przez jej ciemne otchłanie, a każdy z nich złożył
w niej niepojęte skarby doświadczeń, objawień, wy-
siłków, pragnień niespełnionych: dusza człowieka
mieści w sobie milion dusz. I ten milion dusz ob-
jawiał się i uświadomił w duszy Mickiewicza:

„Nazywam się milion, bo za miliony
Kocham i cierpię katusze!“

Ale szerzej jeszcze i głębiej:

Ta część absolutnej świadomości, która ob-
jawiała się w duszy Mickiewicza jako stosunek jego
do narodu, to tylko część zdobyczy geniusza w bez-
kresnem państwie Absolutu.

Więc szerzej jeszcze rozwinął Duch jego swe
skrzydła, głębiej jeszcze zatopił się wzrok jego w
otchłań tajemnic, stanął na progu objawień, na którym,
rażon straszliwą światłością Bóstwa-Absolutu, padł
w ciężkiem omdleniu:

Chyba nie potrzebuję tu przytaczać całej „Im-
prowizacji!“

Wtedy to ujrzał Mickiewicz całe dno duszy —
rzeczy, pętane w ciemnych zmrokach, wyzwoliły się
na światło dzienne, rozbudziły się myśli z wiekowych
snów, podświadomość stała się jawną, ożyły w pa-
mięci rzeczy, które przed Bytem istniały, w mózgu
uświadomiło się całe nieprzerwalne Niebo z swojemi
nigdy przedtem nie widzianemi gwiazdami.

Tu w tej potędze ducha, zdolnego sobie uświadomić przyszłe i przeszłe pokolenia, sięgnąć do prairów Bytu, tkwi tajemnica geniusza, a tą potęgą jest —

Pamięć!

Nie ta oczywiście, która ogarnia wąziutki obręb moich własnych przeżyć, sięgająca chociażby najrychlejszego zarania indywidualnego życia, ale ta, która wstecz obejmuje wieki całe i — daleko poza niemi — przedbytowe życie i to tajemnicze, wiekuiste „życie przed życiem“ Platona, którego „Anamnesis“ sła biuteńkiem zaledwie odbiciem jest życia czy to pojedynczego indywiduum, czy też Narodu całego.

A teraz:

Im silniejsza ta pamięć, im szersze horyzonty obejmuje, im płomienniejszą i żywszą i pojemniejszą jest ta „Anamnesis“, tem gorętszem i silniejszym jest źródło tej potęgi duchowej, jej słabszej lub w nie-skończoność potęgującej się energii, a tą energią jest —

Tęsknota!

Im głębiej sięga pamięć narodu do prairów swego Bytu, tem rozleglejsze rozsuwają się przed nim widnokręgi, tem dalsze zakreślają się jego granice, do których lot swój wyteży i wyteżyć może, bo w miarę im więcej pamięć jego się rozszerza, tem więcej potęguje się jego energia — to znaczy: jego tęsknota, a przeświadczony sił swych skrzydeł, które go ku Absolutowi poniosą, krzyczy przez usta objawiciela

swej potęgi w uniesionym, wniebowzięcia wyczekującym hymnie:

„Lewem o przeszłość, prawem o przyszłość
uderzę,

I dojdę po promieniach uczucia do Ciebie!”

W tych potężnych, w najwyższym, najzarliwszym napięciu Tęsknoty oderwanych od samego dna duszy słowach Mickiewicza objawia się pamięć życia przedbyтового — życia od „jednej wieczności ku drugiej” — pamięć wyrażona energią tęsknoty by dobiedziesz —

„gdzie graniczą Stwórca i Natura“..

To nie ambicja narodowa przezemnie przemawia jeżeli twierdzę, iż w życiu duszy żadnego narodu nie objawiła się tęsknota — jedyny głos, sprawdzian i pewnik nieśmiertelności, jedyna siła, która drogę duszy wyznacza i niepohamowany pęd jej daje — z taką potęgą, jak właśnie w duszy polskiej.

Nie dojrzyś tej zacieklej, wciąż naprzód prącej siły, ani w wspaniałych, ale już stojących wodach kultur romańskich, nie dopatrzysz jej się w głębokiej, ale wodą z lodowców niebopiennych gór wypełnionej, zimnej duszy germańskiej — ani jej śladu w rozwłoczach smutnych mgieł nad bezbrzeżnymi stepami Rosji — jeno w duszy polskiej zerwała się burzą i huraganem — w kamiennych skałach draży

sobie nowe łożyska, wciekłą siklawą wód rzuca się w dół, by w nieprzewyciężalnym pędzie zdobywać sobie nowe obszary absolutnej, wszechświat ogarniającej Świadomości.

To nie germańska, ossyaniczna, wiecznem światłem księżycą karmiona tęsknota jaskiń Fingala, to nie błakająca się od bieguna do bieguna beznadziejna, bezwolna, rozpaczna, stepowa tęsknota duszy rosyjskiej ani też tęsknota „petit verre'u“, na jaką się duch galijski w Mussefa „Nuits d'automne“ zdobył — tęsknota duszy polskiej ma swoją znamienne, tęsknocie obcych kultur nieznaną i niezrozumiałą cechę:

Bunt!

Mnóstwo jest polskich słów, absolutnie nieprzełomaczalnych na język obcy, a wyrażających najgłębszą istotę duszy polskiej — chociażby wspomnę ów „żał“, którym Szopen określał duchowe podłoże całej swej muzyki — i do tych słów należy „bunt“, tajemniczy symbol dla najgłębszego ujęcia tęsknoty duszy polskiej.

Wiecznie nowych dróg szukająca, nigdy nie zaspokojona, chciwa i zachłanna pędzi przed się — „na oślep“, powiedziałaaby dusza fchórzliwa — z tajemniczym, ostatecznego celu jeszcze nie świadomym, ale do najwyższych zadań, jakie ludzkość ma spełnić, w zwycięskim pochodzie krocząca dusza polska — mówi ten, który ją bezgranicznie ukochał i jej szlakami wydażyć zdołał — ta nieokiełznana, prze-

olbrzymiej mocy pełna dusza spełnia swe posłan-
nictwo buntem: najsilniejszym wyrazem pragnienia —
Wolności!

Mogła dusza polska błądzić po manowcach,
mogła, nieświadoma jeszcze wielkiego swego posłan-
nictwa, zaprzepaszczać się w bagnie „Złotej Wol-
ności“ i „Liberum veto“, aleć to ta sama dusza,
która strzeżnawszy błoto źle pojętej wolności z sie-
bie, objawiła się w całej swej świętości w uznaniu
„praw człowieka“ podczas Sejmu Czteroletniego
w takiej rozciągłości, o jakiej żaden inny naród na-
wet najłżejszego pojęcia nie miał — ta sama dusza,
która przez wiek cały miała bohaterskiem, męczeń-
skiem, w dziejach całej ludzkości bezprzykładnem
poświęceniem uczyć Europę, jak za Wolność żyć
i umierać należy.

Rok 1848, który wstrząsnął całą Europą, przy-
gotowała nadludzka ofiara polska, złożona na ołta-
rzu wolności w roku 1831!

„Pawiem narodów i ich papugą“, nazwał jeden
z największych przedstawicieli „Buntu“ duszy polskiej,
Juliusz Słowacki, w ciężkiem rozgoryczeniu swój
własny naród — a może właśnie dla tego, że życie
jego własnej duszy nie było niczem więcej, jak tylko
wiecznym buntem, nie zdołał rozumieć, dla czego
dusza polska przerzucała się od jednej kultury do
drugiej: zaledwie zdołała w siebie wchłonąć i prze-
trafić kulturę niemiecką, już cała rzuciła się w obję-
cia humanizmu i renesansu włoskiego, a zaledwie

widzimy ją już wyzwoloną w Kochanowskim, ujrzymy ją dwa wieki później przywarłą chciwie do źródła duszy galijskiej — (a czyż zresztą istniał wtedy jakiś naród, któregooby blask Roi-Soleil nie był ślepotą raził?) — Patrzymy na nią, spoczywającą w grocie albiońskiej Egeryi, stworzoną przez Shakespeara — Byrona — Shelleya, — błędzącą po ciasnym, małowieszczkańskim, przeraźliwie mądrym i przeraźliwie nudnym Wajmarze, ale Słowacki nie rozumiał, że to jeszcze wciąż lata terminowania ucznia, który już dawno swych mistrzów przerósł, ale niepewny jeszcze, zbyt nieśmiały i pokorny, błędził od warsztatu do warsztatu: wiecznie niezadowolony, zniechęcany, w ciężkim trudzie i męczeńskiej rozterce szukający, przeciwko wszystkiemu buntujący się duch Polski, który wreszcie znalazł swoje wyzwolenie w Mickiewiczu, odnalazł drogę, która doń od Kochanowskiego prostym szlakiem prowadziła, a w utracie bytu politycznego uzyskał nową ostrogę i silniejszy jeszcze rozpęd do nowego Buntu.

Może być, że ta „*faculté-maitresse*“ tęsknoty duszy polskiej — „Bunt“, alias „Anarchia“ — spowodowała upadek bytu politycznego Polski, — na razie — chwilowo: to jeszcze żadna przegrana! Jeden wiek politycznej niewoli, to zaledwie jedna sekunda w życiu Duszy — ale, rozpatrując dzieje i drogi duszy polskiej, zasilal on niepomniernie jej źródła.

Możeby dusza polska pod opiekuńczemi skrzydłami onego Boga, który „przez tyle wieków otaczał

Polskę blaskiem potęgi i chwały“, została szerokiem, może nawet wspaniałem jeziorem — wodą stojącą, ale byłaby utraciła całą siłę rozpędową swojej tęsknoty, potęgowaną w nieskoczoność Buntem!

Trzeba było zaiste tej świętej, bohaterskiej podniosłości czynów, aż nazbyt hojnych ofiar krwi i mienia, Chrystusowej dostojności męczeństwa, onej wieszczęj sfery, „gdzie można ginąć, lecz się nie umiera“, trzeba było nadludzkich wysiłków w imię Wolności, by kultura duszy polskiej mogła stanąć na tej wyżynie, na jakiej obecnie stoi — samoistna, własnymi źródłami przemożna, z coraz większym rozmachem rwąca się do morza — Absolutu.

Trzema łóżyskami przewaliła się wezbrana rzeka duszy polskiej przez „żelazne wrota“ duszy Mickiewicza —

jednem: ponad wszelką miarę spotęgowaną miłością narodu, a więc poznaniem swej własnej duszy w najgłębszej, doczesnej swej istocie, jako cząsteczki duszy zbiorowej —

drugiem: nieokiełznaną tęsknotą i pragnieniem szukania początku swojego Bytu, który już milion dusz objął, w przedbytowem swem istnieniu — w Absolucie —

trzeciem: w żywiołowej potędze nie dającego ani na chwilę spocząć, ani wytchnąć, do coraz zacieklejszych zapasów i walk zmuszającego Buntu.

I w ten straszny wir spienionych wód duszy polskiej, który się w duszy Mickiewicza zakotłował i przez nią się przelał, nie zdoławszy zachwiać jej granitowych podstaw, dostał się męczeński, heroiczny duch Juliusza Słowackiego.

Jedna z najpiękniejszych postaci, tronujących w królestwie Duszy Polskiej — w żadnej może innej nie ujawniła się ta „faculte maîtresse“ tęsknoty polskiej, jej niezmożona siła: bunt! jak właśnie w nim. Słowacki!

Jakieś niepomierne królewskie chłopię, dzikie, nieokiełznane, z bohaterską duszą Warneńczyka, z błędną a wszystkimi cudy piękności lucyferycznej mieniącą się gwiazdą na czole, a taką hardą odwagą w sercu, że razem z Herem Armeńczykiem zapuścił się w otchłanie przeszłości.

Bogu uragającą mocą wizyjną rozwiązywał w „Genezis z Ducha“ tajemnice początku i końca wszechbytu, ogień w kamień wlewał i do życia go powoływał i wszystkie wartości na ręby nicował:

On, w krwawym trudzie i znoju szamocący się w wirach przemocnej duszy polskiej, błędzący w męczeńskim zaparciu się siebie po jej ciemnych krążgankach w stęchliźnie zamarłych stuleci, w których wszystkie pochodnie gasną — to najszczytniejsze wcielenie się buntowniczego, hardego, zachłannego założenia duszy Polski.

W potopie błyskawic siał piorunami, świat cały widział w poździe, uragał i bluźnił ludowi swemu,

by go z martwego snu rozbudzić, do Czynu powołać wściekłego Króla-Ducha wywlókł mu przed oczy, na cmentarzyskach wieków groby rozkopywał i z martwych wskrzeszał najpotężniejszych ojców swej ziemi — ale wtedy jeszcze były błyskawice jego ślepe, bo naród ich nie widział — pioruny huczały, ale nie biły, bo padały wedle dróg — serce swe, przez naród zdeptane, harde, dumne, zbyt chciwe, zbyt płomienne serce pozostawił mu w spuściznie, ale poskąpiono królewskiemu jedynakowi grobu na tej ziemi, którą tak ukochał, a która teraz śnać jeszcze nie czuła się godną, by popioły swego wielkiego syna przyjąć.

Może być, że dostojny Duch olbrzyma Krzysztofora-Mickiewicza przeraził się tej buntowniczej siły, którą sam rozpętał, przeraził się i naród cały, którego najistotniejszym wcieleniem był on sam; zbyt go ślepiła nawałnica błyskawic, zbyt nim wstrząsnął roz huk grzmotów i piorunów, więc dźwignął na swe ramiona swego pogrobowca: dziecię, gorejące najczystsza i najgorętsza miłością Narodu, dźwigające straszny krzyż wszystkich jego cierpień i męczeństw, wieszczące „osobliwe“ chwile, ale zbyt zapałzone w podniosłą sferę czynów praocjów, by mogło stać się przywódcą, mocarnym Tyrteuszem — gwiazdą betleemską i latarnią morską, któraby dla rozhukanego, pijanego statku bez steru mogła wieścić bezpieczną przystań:

Wyspiański jest zamknięciem epoki, ale nie jej drogą.

Trzeba mnie dobrze zrozumieć, a lękam się, że mógłbym być niedostatecznie rozumiany. — Dusza polska, pojęta jako duch narodowy — ściśle narodowy — święci w plejadzie przemożnych twórców w końcu wieku dziewiętnastego swój najwyższy tryumf.

Ale: ani Mickiewicz, ani Słowacki, ni też Kraśiński nie zdołali duszy narodu tak do samego dna zgłębić, tak wnikać w jej najtajniejsze szczeliny, tak ją ogarnąć w wszystkich warstwach, wymierzyć jej głębie i jej objętość, jak współcześni nam Kasprowicz, Żeromski, Tetmajer, Sieroszewski, Daniłowski, Reymont, Orkan, by tylko najprzedniejszych wymienić.

Żaden naród, prócz polskiego — podkreślam to jak najusilniej — nie może się poszczycić tak chlubnym zastępem wspaniałych synów, którzyby go równie płomienną, żarliwą miłością ukochali — żadna Matka Ojczyzna nie została wywyższona na szczyty takiego boskiego majestatu, jak właśnie Polska przez swych wybrańców.

Trójca naszych wieszczów, których ostatniem echem miał jeszcze Sienkiewicz przemówić, dała bogaty wykrój duszy polskiej: dała jej część integralną:

Polskę rycerską, szlachecką — potomne ich pokolenie ujęło ją całą od jednego bieguna do drugiego.

Historyzofem wieszczym, proroczym całej tej duszy narodu był Wyspiański w słowie, jak był nim Matejko w malarstwie, — męczenniczym Szymonem z Kyreny, który na swe potężne barki dźwignął straszliwy krzyż cierpień i żywą krwią ociekających męczarni duszy narodu, stał się Żeromski na równo w malarstwie z Grottgerem, lub Jackiem Malczewskim — sięgającą wyżyn epopei szlacheckiej w „Panu Tadeuszu“ stworzył Reymont ogromną epopeę duszy chłopskiej w swoich „Chłopach“ — duszy polskiej w zacieklej walce z caratem, duszy, rozrywającej kajdany niewoli nie otworzył nikt z większą siłą, jak Daniłowski w „Jaskółce“, Brzozowski w swoich „Płomieniach“, Andrzej Strug w swej „Historji jednego pocisku“ — wspaniała epopea De Costera „Till Ullenspiegel“ traci na uroku, gdy się ją porówna z przedziwnie piękną, przedziwnie głęboką groźną, dumną, królewską epopeą duszy góralskiej Tetmajera: „Legendą Tatr“, a bladą i mizerną wydaje mi się niemiecka cała „Heimatskunst“ wobec ogromnego obrazu Podhala, jaki Orkan stworzył.

Nic równego nie znajdziez w całej literaturze europejskiej.

Ale cały ten olbrzymi przepych, całe to przeogromne bogactwo musiało pozostać udziałem li tylko narodu polskiego — poza obrębem duszy zbiorowej polskiej traciło na wartości.

Skarżymy się na zapoznanie niezmiernej wyżyźny naszej narodowej kultury przez obcych, a zapominamy o tem, że ten obcy, by mógł jej doniosłość i jej potęgę ocenić, musiałby chyba pół życia strawić na badaniu historii polskiej, życia i zwyczajów narodu polskiego, przetrwać w sobie całą jego tradycję, wszystkie jego męczarnie przeżyć i wraz z nim tęsknić i wyczekiwać nadejścia Nowego Syonu.

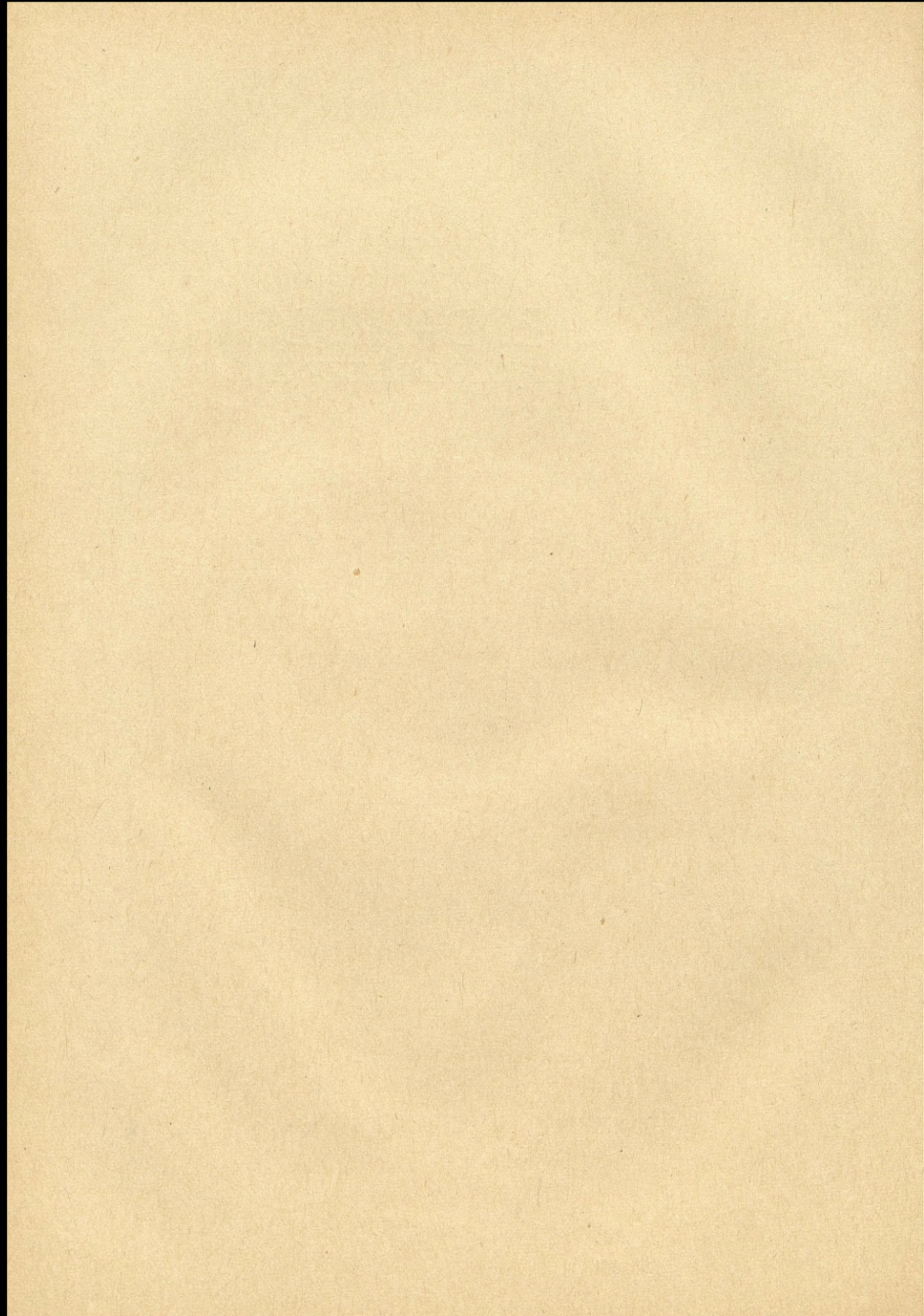
My Polacy, mocą niesłychanej pojemności duszy naszej, jesteśmy w stanie objąć i zrozumieć i przeżyć nawet kultury całego świata — naszej odrębnej, narodowej kultury, mimo, że stoi na takiej wyżynie jak żadna inna odrębna i specyficznie narodowa kultura, żaden inny naród nie zrozumie ani nie odczuje, prócz pobratymczych narodów słowiańskich.

Zasadniczy moment w kulturze polskiej narodowej:

To nie rozłam z kulturą Zachodu, ale bogactwo: zdumiewająca synteza kultury Zachodu o całej niezmierzonej głębi uczuć duszy słowiańskiej — synteza najwytworniejszej kultury umysłowej z najgłębszą, najgorętszą, Chrystusową kulturą serca, właściwą li tylko ludom słowiańskim — kulturą serca tak wyczułoną i tak rozlewną, że gubi się w mrokach mistycznych wniebowzięć, wzięła w ponadobłoczną dal w mesyanistycznych tęsknotach i staje się już nie tylko kulturą, ale — Religią.

I tylko z takiej syntezy kultury umysłowej i sercowej, z syntezy, dokonywającej się w duszy Mickiewicza i Słowackiego, z płomiennej duszy, mdlejącej w mistycznej ekstazie „Improwizacyi“, błędzącej ponad morzami wszechbytu, kiedy jeszcze Nic nie było, w „Genezis z Ducha“, wywodzi swój rodowód tak zwana „Młoda Polska“.

„MŁODA POLSKA“.
(NAJOGÓLNIJSZY ZARYS.)



MYŚL POLSKA NA BEZDROŻU. POZRYWANE NICI.

Każdy wielki utwór artystowski nazywają boskim; pokazuje to domysł, przeczucie, że jest w nim coś fajemniczego, coś niby nadprzyrodzonego i to coś uznano za niezbędnie potrzebne dziełu prawdziwie artystowskiemu.“

Niedość na tem:

„Żeby smakować w sztuce, żeby rozognić się widokiem jej płodu, trzeba także pewnego natchnienia, biernego niejako, któreby duchowi widza dało zetknąć się bezpośrednio z duchem sztukmistrza.“

Tak przemawiał Mickiewicz 9. stycznia 1844 r. o sztuce jako o czystej, bezpośredniej emanacji złożonych w głębi ducha prawd, dokonującej się w stanie natchnienia, w którym osobiste „Ja“ zanika, rozgwar codziennych myśli milknie, uwaga, pochłonięta przez sławę świata zewnętrznego głuźnie i ślepnie na wszelkie „zewnątrz“, skupia się w sobie i staje się godną do przyjęcia onych fajemniczych, Bogu tylko wiadomych prawd.

Nie minęło trzydzieści lat, bo już w 1873 roku ukazał się gwałtowny manifest Piotra Chmielowskiego

o celach i zadaniach sztuki, w którym najęźszy po on czas krytyk polski dowodzi, że artysta, jak każdy inny człowiek jest obywatelom, a zatem powinien mieć pewne przekonania społeczne i podług tych przekonań postępować... „O przekonanie nam idzie, o przejęcie się prawdami społecznymi, o przerobienie ich na umysłowy skarb artysty — nie zaś o pustą formę“, — „Porzućcie podniebne stropy — woła do artystów — i zejźcie na ziemię pomiędzy pracujących i cierpiących, wesołych a smutnych, wnikaćcie w rany społeczeństwa, a głoś wasz opromieni ciemności, umili godziny biedy. Precz z bezświadomem natchnieniem poetów, precz z ich mazgajskim ospalstwem duchowem, — żądamy od poezji skapania się w nurcie zdrowych myśli, mogących w żyły beletrystyki wlać nowe życie, przemienić ją w istotny czynnik produkcyi społecznej“. — „Artysta powinien przede wszystkim wiedzieć, czemu i dla czego cośkolwiek pisze i powinien sobie dokładnie uświadomić, jakie konsekwencje z dzieła jego, gdy zostanie ujawnione, dla społeczeństwa wynikną.“

Nie wiem, pod czyim adresem Piotr Chmielowski swoje gromkie a apodyktyczne słowa o celu i znaczeniu sztuki zwracał — bo przecież po on czas cała sztuka polska była z maleńkimi wyjątkami na usługach społeczeństwa: artysta po on czas i długo jeszcze potem miał li tylko względy społeczne na oku — wszystkie zagadnienia społeczeństwa: psychologiczne, społeczne, etyczne, rozwesela-

jące ona „biedę codzienną“, jak też budzące „w warstwach zamożnych: współczucie i litość dla biednych i uciemienionych“ zostawały z głęboką sumiennością rozstrząsane w tworach naszych powieściopisarzy, dramaturgów i poetów — artysta był przecież na on czas i uczyonym i publicystą, politykiem, kaznodzieją, popularyzatorem.

Trzydzieści zatem lat starczyło, by sztukę zwalczyć z wyżyn, na jakiej ją Mickiewicz stawiał i zapakować ją do marnego, episierskiego kramiku, w którym między innymi pożytecznymi rzeczami można sobie nabyć prawd społecznych, ujętych w formę „sztuki“, materiału do pokrzepienia i rozweselenia ducha, udręczonego troską i życiowymi zabiegami. „Społeczeństwo, jak Mickiewicz mówi, opuściło drogę krzyża, nie chciało cierpieć, starało się unikać choćby najmniejszej przykrości, okłamywało siebie i pozwalało się z rozkoszą okłamywać, a tem większym ulubieńcem jego ten, który im haszysz i odurzające opium dawał, mieniąc to pokrzepieniem ducha, a proste narkotyzowanie nazywając podnoszeniem i uszlachetnieniem.“ Trzydzieści lat starczyło, by wszystkie objawienia naszych wieszczów poszły doszczętnie w niepamięć, by myśl polska — rwąca się w prometeuszowskich wysiłkach, by tam dotrzeć, „gdzie Stwórca z Naturą graniczy“, by w bezkresnych obszarach Nieświadości nowe, nieznanne doświadczenia zagony osiąść — została wprzagnięta w ohydne jarzmo społecznego pożytku: ci, „co królami byli

albo będą“ stali się pachółkami tych, „którzy kądziel w duchu przędą“, a naród, który, według Mickiewicza, „coprawda najpóźniej przyszedł na scenę tego świata z krainy Ducha, ale miał jej najświeższą pamięć i stąd był powołany inne narody do poznania domu wspólnego Ojca doprowadzić“ — stał się narodem, który czempredzej wyrzekł się swych proroków i bluźnić jął Bogu — „który lubi huczny łot olbrzymich ptaków i koni rozhukanych nie kielza, a na szyszakach dumnych staje sam piórem z ognia“*) i zwałił się hurmem do smrodliwego ghefta narodów, w którym wszystkiego dostać można i kupić i sztukę i ideały, ba! nawet wygodny kącik w przyszłym życiu.

Nie wchodzę w to, co zatamowało rozwój myśli polskiej, która nigdy potężniej się nie objawiła, jak w tak zwanym Romantyzmie, co zwichnęło doszczętnie jej podniebny, królewski wzłot — pozostaje tylko do stwierdzenia fakt, że ciągłość nici myśli polskiej została nagle potargana, zgasło ogniste płomień, które było jeszcze przed dziesiątkiem lat z wulkaniczną mocą wybuchło, a w ciemnościach, ale przy flustych garnkach zasiadło starcze plemień, żadne spokoju, wygody, rozweselenia, bezmyślności — strupieszale pokolenie, spragnione tylko pożytku i leniwego wylęgiwania, odrzucające z wzdargą i oburzeniem wszystko, coćkolwiek mogłoby starczą duszę jego z

*) Słowacki.

równowagi wyprowadzić lub do jakiegokolwiek wewnętrznej pracy zmusić.

I o tem to „starem“ pokoleniu wyjąłwionych pogrobowców, ich zaciekłych walkach z „młodem“, do nowego życia odrodzonym, szerzej pomówić wydaje mi się teraz być najodpowiedniejszą porą, kiedy już zwycięstwo młodego pokolenia zdaje się być pewnem, poszarpane nici ciągłości myśli polskiej znowu nawiązane zostały, kiedy już z wszystkich dali i wszystkich poblizy rozbrzmiewają zwycięskie fanfary hufca duchów, dawno już zapomnianych, a których „młode“ pokolenie na pomoc sobie było przyzwalo.

„STARZY“ I „MŁODZI“, CZYLI „DUCH WIECZNY REWOLUCYONISTA“ W WALCE PRZECIW DUCHOWI STRUPIESZAŁEGO ZASTOJU.

Często slyszalem, że nowoczesna literatura stala się impertynencką i z przesadną odwagą wyzywającą. Ja z mej strony nigdy ani w jej impertynencyę, ani zbytnią odwagę nie wierzyłem. Zarzut ten jest niczem więcej, jak tylko moralistyczną chępliwością. Literatura, która się zwykle nazywa odzwierciedleniem życia towarzyskiego, czy też społecznego, zupełnie niem nie jest — całkiem przeciw-

nie; a jeżeli ktośkolwiek z literatów odważył się z większym zacięciem, z większą odwagą i bezwzględnością wystąpić, to — Bóg wie jaki hałas wskutek tego powstawał.“

Temi słowy rozpoczyna jeden z tych rzadkich katolickich na wskroś pisarzy, którzy stanowią chlubę wszechświatowej literatury, Barbey d'Aurevilly, swoją nowelę: „Vengeance d'une femme“ — jeden z tych, na których Kościół katolicki z dumą wskazywać może, że wbrew oklepanym frazesom pozytywistów, radykalistów — specjalnych wrogów Pana Boga i Jego Kościoła — iż Kościół katolicki był wrogi prawdziwemu artyzmowi, najwierniejszy syn Kościoła, jakim był Barbey d'Aurevilly, wyniósł się na szczyty najwyższej potęgi artystycznej — i to w znaczeniu całkiem „moderne“. Również jak Huysmans, Hello, autor „Mémoires d'un mendiant“ Leon Bloy, Fogazzaro, lub Jörgensen.

B. d'Aurevilly przytacza cały szereg niesłychanie skandalicznych, ogólnie znanych wypadków w towarzystwie paryskim — i pyta, ktoby się ośmielił chociaż w dalekim, delikatnym obejściu w literaturze te tematy podjąć.

„A koniecznym byłoby to, coby trzeba zrobić (sc. pisarzowi), gdyby kogoś było stać na odwagę. Historia ma swego Tacyta, swego Swetoniusza — powieść go nie zna — przynajmniej ta, która sobie rości prefensye do rzeczywistego dzieła literatury i któraby była dziełem istotnego talentu...“

„A przecież, gdyby się ktoś „odważył chcieć“, mógłby istnieć w literaturze pięknej jakiś Tacytus, Swetoniusz — a głównie w powieści, bo powieść jest przedewszystkiem i to w pierwszej linii, opowiedzianą lub udramatyzowaną historią obyczajów, czem jest często cała historia powszechna.

„A pomiędzy powieścią a historią powszechną nie ma innej różnicy, jak tylko ta, że na tle obyczajów stawia się wyimaginowane postacie, a historia ma prawo te postacie opatrzyć pełnem nazwiskiem i dokładnym adresem.

„Powieść atoli — wogóle literatura, posiada wyższość nad historią, bo daleko głębiej wgrzebuje się w duszę człowieka. Powieść posiada ideał, podczas gdy historia go nie posiada, bo jest rzeczywistością krępowana. A byłoby dobrze, gdyby malarz Tacytus chociaż w części był dorósł swojemu modelowi — Tyberyuszowi, i gdyby jego geniusz nie był przez tego ostatniego wprost zmiądzony.

„Literaturze nowoczesnej przypisuje się nieokleznaną odwagę, buńczuczność w obec błogosławieństw hypokrytycznej moralności:

„Furda!

„We wprost odwrotnym stosunku stoi anemiczna bezsiła literatury do zjawisk życia, któreby przecież odzwierciadlać powinna.

„Zarzucają literaturze, że się zajmuje zbrodnią i przestępstwem. — Śmieszne! maluteńka część tych wszystkich zbrodni dostaje się do obrębu literatury,

które społeczeństwo codziennie w ukryciu i bezkar-
nie popełnia z zachwycającą bez troską. Zapytać
tylko spowiedników — którzy mogliby być najpotęż-
niejszymi powieściopisarzami, jakich świat widział,
gdyby mogli powtórzyć te wszystkie rzeczy, które
im się do ucha mówi.

„Tu do prawdy nie chodzi o fizyczne zbrodnie,
które dla płytkiego, materialistycznego, starczego
mózgu wydają się straszne, bo krew płynie, sztylet
i pistolet odgrywają rolę; tu chodzi o te cerebralne
zbrodnie — zbrodnie mózgowe — nieskończenie wy-
rafinowane, stokroć razy gorsze od tych, jakie bar-
barzyński mózg wymyślić jest w stanie, a które ukry-
wają w sobie daleko głębszy tragizm, aniżeli tragizm
zbrodni fizycznych, od których nasze przeczulone
nerwy się skręcają i nasze wróble mózgi tężeją“.

Postulat, który ten największy z katolickich pi-
sarzy postawił jako najwyższe zadanie dla artysty,
jest mniej więcej ten sam, jaki Kościół spowiedniko-
wi stawia.

Zbadać duszę ludzką do samego dna, mieć od-
wagę wejrzeć w jej najgłębsze otchłanie, wybadać
jej tajemnicze skrytki, poznać ten nieskończenie
skomplikowany mechanizm onych „cerebralnych“
grzechów i przestępstw, które Bóg wie jakie „wyr-
rafinowane zbrodnie“ stwarzają: oś zakres, który Bar-
bey d'Aureville nowoczesnemu artyście-pisarzowi
wykreślił.

Założenie, z którego Barbey d'Aurevilly wychodzi i postulaty, które z tego założenia wyciąga, odnoszą się oczywiście do artysty, który uważa człowieka jako „indywiduum” — a dla „starej” literatury człowiek jako indywiduum nie istnieje. Jestem zmuszony posługiwać się bezustannie w dalszym ciągu mej rozprawy ustalonymi, aczkolwiek błędnymi pojęciami „starej” i „młodej” Polski, więc mi w paru słowach zaznaczyć wypada, co ja rozumiem pod temi utartymi komunałami:

Najwyższą zasługą tak zwanego Romantyzmu było to, że największem zagadnieniem w całym wszechświecie stał się dlań „człowiek” — „indywiduum”; problem społeczny był całkowicie podporządkowany problemowi indywidualnego rozwoju, a najdosłowniej zadaniem człowieka jest rozwijanie własnej indywidualności, kult „boskiego tonu” w sobie, wydobywanie się z „gromady”, łamanie praw, obowiązujących duchy niższe, (bo cały postęp świata jest ciągle łamaniem praw niższych), by mózgi wstąpić na wyższe szczeble doskonalenia się; a wartość ustrojów społecznych mierzy Słowacki tem, czy i o ile one dla tego rozwoju indywidualnego są pomocne. I w tem pojęciu może być nawet, a raczej musi być i grzech i zbrodnia szczeblem ku formie wyższej rozwoju. Dla tego też Emerson podziwiał wielkich ludzi wszelakiego rodzaju — kochał zarówno srogich jak dobrych, bicze Boże i rozkosze rodzaju ludzkiego. A wyraźniej jeszcze streszcza się

Słowacki: „Kto twarzy swej na przyszłość obrócił, kto pragnieniem i tęsknotą za formę istniejącą wybiega, chociażby skazę miał i niedoskonałość, wpisany będzie w księgi żywota“.

Przeciwno fałszemu pojmowaniu człowieka profestuje jak najgwałtowniej dusza zbiorowa, leniwa, zadomowiona, rozgospodarowana szczęśliwie na tym właśnie szczeblu rozwoju, na jaki ją „indywiduum“ wbrew jej woli dźwignęło; — nie chce, ani nie pragnie dalszego rozwoju, a wszelkim zakusom ducha indywidualnego, by wyżej ją jeszcze poprowadzić, stawia zaciekły opór, niszczy i tępi wszelki zaród „indywidualnego“ ducha, kamieniuje swe proki, baczna na to, by „ne quid detrimenti“ poniosło państwo porządku, „cnoty“, zrównoważenia moralnego. A ponieważ żadna nowa forma nie może powstać, któraby nie powstała z skruszonej uprzedniej, żadne nowe prawo, zanim stare przełamane nie zostanie, ściga i prześladowuje z nieubłaganą srogością wszystko, co pod normą wybiega, a „głowy, urastające ponad strychulec, ucięciem zrównuje“. (Słowacki.) A potęgą tej duszy zbiorowej jest straszliwa: Sto tysięcy milionów Chrystusów ma liczyć, — według Słowackiego, zastęp, który pójdzie do szturmu na oną twierdzę, zaporę do osiągnięcia ostatecznego celu rozwoju indywidualnego: słonecznej Jerozolimy!

To nie „starzy“ i „młodzi“, którzy z sobą walczą, ani te „stare“ ni „nowe“ prądy, które się wiecznie

z sobą ścierają: pojęcia te wyrażają odwieczny antagonizm w najszerszym znaczeniu między indywiduum a gromadą, pragnieniem trwania na raz już osiągniętym szczeblu rozwoju a bezustannym parciem wzwyż na coraz wyższe szczeble ku słonecznej Jerozolimie — zaciętą walkę między sądem autonomicznym tych, którzy sprawę swoją na sobie samych postawili a wygodnym sądem heteronomicznym onych nieprzeliczonych hufców, którzy stawają w obronie starych dawno już przeżytych praw i pojąć nie mogą, że tylko „przez rewolucję leczą się przestarzałe narody, — albowiem rozbitcie czasów formy, która ducha ugniatała, dopomaga wyjściu na wierzch większych duchów — a na właściwe, niższe miejsca tracą te niedołęzne — a uprzywilejowane“.

(Słowacki) — Jednym słowem: walka Ducha strupieszności starczej, wygodnego lenistwa, bezmyślnego trwania w bezwartościowych już formach a Duchem „wiecznym rewolucjonistą“, w którym w krwawej męce uświadamia się przyczyna, rozum i treść wszechbytu i w nim świat swe własne zagadki i swych losów fajnie rozwiązuje.

Przed stuleciem ochrzcono tę walkę zbuntowanego indywiduum przeciw gromadzie, „rewolucję“ rządu dusz przeciw teorowi trzody: „romantyzmem“ — na końcu ubiegłego stulecia wyszukano dla tej samej walki, jaką „Młoda Polska“ wszczęła, pokraczne nazwy: Modernizmu, Satanizmu, Dekadentyzmu i t. d. i t. d.

Po tem zastrzeżeniu będę się już swobodnie posługiwał ufartemi nazwami i pokuszę się w najgrubszych zarysach odtworzyć tę ostatnią „rewolucję“ w dziedzinie sztuki w Polsce.

CZŁOWIEK-OSOBA I CZŁOWIEK-INDYWIDUUM, CZYLI ZASADNICZA RÓŻNICA W ŚWIATOPOGLĄDZIE „MŁODYCH“ I „STARYCH“.

Stary“ artysta lękał się analizy mózgu człowieka, a może był zbyt krępowany prostolinijnymi moralnymi wytycznymi.

Brał człowieka po wierzchu i wartościował go według zewnętrznych objawów jego czynów. Objawiały się na zewnątrz dodatnio — wtedy był człowiek dobrym — przeciwnie: był złym.

Nikomu nie wpadło na myśl, że zewnętrzny objaw niekoniecznie, a częstokroć absolutnie nie odpowiadał wewnętrznemu ustrojowi duszy. Ten „Geist“, który „das Böse will und das Gute schafft“ — mógł i odwrotnie się w złem objawić, mimo, że dobra pragnął.

Nie ma ani złych, ani dobrych ludzi — to pierwszy krok, jaki on „odważny“ artysta w wartościowaniu człowieka zrobił. Dusza człowieka sięga od jednego bieguna do drugiego — wszystko się w niej

mieści, wszelkie załączki zła i zbrodni spoczywają obok tych, z których wykwitają najszlachetniejsze porywy i najwznioślejsze cnoty.

Głębiej jeszcze: to samo, co w danych warunkach przy pewnych dodatnich okolicznościach może wykwitnąć czemś istotnie wzniosłem — w innych danych objawi się jako poczwarna zbrodnia.

Miejmy odwagę zrozumieć nieustraszone męstwo, wściekłą pogardę śmierci, niesłychaną odwagę i przytomność umysłu, która się raz przejawia w prostym bandytyźmie, a innym razem w heroicznym wysiłku walki za ojczyznę.

Miejmy odwagę wartościować zasób energii, mocy, siły, nie według zewnętrznych, złych czy dobrych przejawów tej siły — tylko według wewnętrznego napięcia i wyladowania się tej mocy.

Idźmy teraz krok za krokiem śladem artysty, który czynów człowieka, jakiego przedstawia, ani nie potępia, ani nie uwielbia. Zewnętrzne objawy nic go nie obchodzą, jego jedynie zajmuje wewnętrzny mechanizm mózgu człowieka, który ten lub ów czyn spełnia. — Sam nic o nim nie wyrokuje, wsłuchuje się w najtajniejszą spowiedź duszy człowieka, słucha najstraszniejszych zbrodni z głębokim przejęciem, spada w ciemną otchłań przepaściстых zaułków duszy ludzkiej, wybiega wzwyż górnemi jej wzłotami, a wciąż jako sumienny spowiednik szuka ukrytych kółek, które cały mechanizm w ruch wprowadzają, szuka w ciężkim znoju tej „prima causa

movens“, która fakie, a nie inne objawy wywołać musiała.

I tu doszliśmy do jądra rzeczy:

Zasadnicza różnica pomiędzy tak zwanym „starym“ artystą, a „modernistą“:

„Stary“ przystępował do ludzi, których tworzył, z ściśle określoną miarą, z góry wartościował ich postęпки, pochwalał je lub oburzał się nimi, dobro w swem pojęciu uanielał, zło przejaskrawiał — działał jednym słowem podnosząco, umoralniająco, albo też odstraszażąco, pogardę i nienawiść budząco. „Stary“ pisarz miał przed oczyma tendencję — społeczną, utylitarystyczną, pouczającą, budującą — był przytem delikatnym, łagodnym: starał się wszystkimi siłami czarne potęgi duszy jasnymi tonami zabarwiać, a gdy już tego nie zdołał, w całej olbrzydliwej ohydzie je pokazać.

Był nieubłaganym — wiedzion rozumnym instynktem, że posłannictwem jego jest budzić ducha, naród umoralniać, pouczać i prowadzić go drogami, które dla dobra społeczeństwa według wszelkich wskazówek życia społecznego uznał za najlepsze.

Jeżeli ktośkolwiek, to właśnie Piotr Chmielowski szczerze i uczciwie, bez żadnych obsłonek, w powyżej pomieszczonym cytacie wyraził to wszystko, czego społeczeństwo od sztuki wymagało i jaką wykreślało drogę dla artysty, z której żaden ani na lewo, ani na prawo ni na chwilę zboczyć się nie odważył.

Przedmiotem artysty był człowiek, dla którego społeczeństwo i dogmat religijny wyznaczał ściśle granice.

Istniał zatem człowiek, który się rozumem rządzi, który o wszystkim co czyni wie doskonale, jakie konsekwencje jego czyn mieć będzie: wszystkie myślowe assocjacje są jak najzupełniej logiczne i uporządkowane, w ścisłej harmonii z porządkiem rzeczy, przepisany przez społeczny i religijny dogmat — społeczna predestynacja par excellence!

Jednym słowem: wszechwładnie panującym typem jest osobowość — człowiek był osobą, ściśle wypełnianą, porządnie zszeregowanymi w miarę, jak napłycały, indywidualność jego musiała się bezwzględnie poddać rygorowi osobowości.

I ten człowiek-osoba pracował skojarzeniami idei takimi, jakimi je zewnątrz odbierał, rozczłonkowanymi, porządnie zszeregowanymi w miarę, jakby napływały do jego mózgu, lub też mu do niego według utartych prawideł wepchane zostały — mózg jego obracał się w kole ściśle i surowo wykreślonych prawideł, naokół wytycznych słupów kodeksu etycznego, społecznego, religijnego lub też honorowego.

Pojęcie indywidualności jeszcze było naówczas nieznaną — ograniczało się ono do pojęcia tak zwanego „charakteru“.

A więc był dobry i zły charakter, gnuśny i przebiegły, ospały, słaby, to znów rzutki i energiczny —

i według tych kategorii wartościowano błędy i zale-
ty człowieka, jego zasługi i zasię jego szkodliwość,
sfosunek jego do społeczeństwa, rodziny i t. d.

A ponieważ literatura ściśle się trzymała tych
kategorii, więc i postacie, które odtwarza, musiały
z natury rzeczy być tylko kategoriami.

W czystym myśleniu niema rozczłonkowania
czasu na sekundy i minuty, ani na miesiące i lata —
ale jest ono na zegarku i w kalendarzu — i w czy-
stem myśleniu niema rozczłonkowania psy-
chicznego czasu na tysiące kategorii, ale jest za to
w kodeksach cywilnych, prostej życiowej etyce
i wszelkich tych paragrafach, które tak samo jak
czas, jak przestrzeń i nasze bezczasowe i bezprze-
strzenne istnienie na sekundy, minuty, godziny regu-
lują, czy to w znaczeniu uzmysłowionem zegarkiem
czy też wewnętrznym imperatywem — mniejsza o to,
czy przez życie społeczne stworzonym, czy też pra-
wem natury, by istności rodu ludzkiego końca nie
było, czy też instynktem „a priori“ nakazanym.

Rozerwanie nieprzerwalnej ciągłości czasu na
minuty, godziny, miesiące i lata, rozerwanie prze-
strzeni na metry i mile wydawało się tak bezwarun-
kowo potrzebne dla istnienia bytu człowieka, że spo-
wodowało rozerwanie nierozzerwalnej ciągłości we-
wnętrznego istnienia człowieka na przyczyny i skut-
ki, rozczłonkowanie aktów psychicznych na akty
uczucia, woli i wykonania — w fałszywej perspekty-
wie przedstawiających się nam jako trzy po sobie

następujące czynniki — podczas gdy one są jednym nierozzerwalnym aktem.

I tu nastąpił rozbrat pomiędzy tak zwaną „starą“ a „młodą“ sztuką.

Co starej sztuce nadawało jej istotny charakter, to ta tak zwana „klasyczna“ prostolinijność i jasność myśli, bo „stary“ artysta operował werbalnymi kategoriami i przyjmował je jako rzeczywiste wartości psychiczne i istotne funkcje duszy.

Jedyna przyczyna namiętnej i zacieklej walki, która się rozegrała na przełomie XIX i XX stulecia, zwłaszcza u nas w Polsce, nie tkwiła bynajmniej w pojęciach estetycznych, li tylko w zmienionym światopoglądzie — w zmienionym kącie patrzenia na życie duszy człowieka.

Świadomość ludzka jest zdolną z absolutnej ciągłości swego bytu psychicznego wychwytać tylko pojedyncze momenty, ale świadomość ludzka jest na tyle zarozumiała, iż jej się zdaje, że ogarnia całą ciągłość. Tymczasem pomiędzy jednym momentem a drugim, pochwytym dla mózgu ludzkiego, chociażby najwięcej pojemnego, istnieje milion momentów, świadomością nieogarniętych. Świadomość ludzka przeskakuje w ogromnych susach całą wieczność, która się rozestąpiła pomiędzy jednym momentem dla niej uchwytnym a drugim, na którym spocznie. Pierwszy moment nazywamy przyczyną, drugi skutkiem, a nie troszczymy się o ona wieczność, która między jednym a drugim istnieje, w której to

beźświadomej dla naszego mózgu wieczności tkwi prawdopodobnie miliard skutków i przyczyn, całkiem mi nieznanych, a które skok mój w tę lub ową stronę skierowały, a nikt nie jest w stanie powiedzieć, czy to, co w mózgu jego uświadomiło się jako przyczyna, było istotnie przyczyną, a co uważał za skutek, nie jest li tylko przyczyną przyczyn, albo odwrotnie.

I to co „nowa“ sztuka dać pragnie, to właśnie człowiek z jego istotnem, wewnętrznem życiem, jego upadkami, jego zwalaniem się w odmętne czeluści, jego strasliwą tęsknotą, „n' importe où“ — byleby tylko „hors du monde“, jak Baudelaire woła — jego wzniesieniem się i ogarnianiem wszechświata. Nowa sztuka pragnie dać właśnie to, co wywołuje nie zewnętrzna, logiczna, prostolinijna asocjacja myśli, ale wewnętrzna asocjacja uczuć. Nie daje rzeczywistości, w jakiej się świat zewnętrzny w mózgu odbija, nie daje „rzeczy“ w tym szeregu, w jakim do niego napływają, ale daje tylko „uczuciowe“ wartości tych „rzeczy“ i „uczuciowe“ ich skojarzenia.

Stąd jasność, przejrzystość, prostolinijność i zrozumiałość utworów starych pisarzy i stąd „laurowa ciemność“, pozorna zawilość u młodych — stąd nieporozumienia pomiędzy młodym pisarzem a jego czytelnikiem, przywykłym do ściśle logicznych, rozumowych związków: nie zadaje on sobie trudu, by wżyć się z mozołem w związki uczuciowe, które

przecież dla duszy ludzkiej są istotniejsze i rzeczywistsze, aniżeli te pozornie realne.

I człowiek, którego dotychczas w powieści podziwiano jako bohatera, albo brzydzono się nim jako łotrem, był zawsze tylko fikcją. Wszystkie jego myśli, wszystkie jego czyny, były szeregiem świadomych, z rozmysłem i wolą jego sprowadzonych czynów. Sam się czynił odpowiedzialnym za to co czynił i bywał przez innych do odpowiedzialności pociągany.

Okazało się jednak, że ten „stary“ światopogląd, aczkolwiek bardzo praktyczny w regulowaniu wzajemnych stosunków codziennego życia, nie wystarcza zupełnie. by mógł choć w części ogarnąć istotne życie duszy człowieka, jej głębie i tajemnice.

Usilne badania, które mamy przeważnie jasnowidzącym artystom do zawdzięczenia, wykazują, że istotne życie jest nieskończonym szeregiem w podświadomości kielkujących aktów woli, a które pewnego dnia się w czynie dokonują, a ich dokonaniu żadna świadomość zapobiedz nie może, co najwyżej skonstatować jest w stanie, że się coś dzieje. To jest nagły wybuch ciemnych, ukrytych sił, które są w stanie zniszczyć i najsilniejsze zapory moralne, ustawiczny bunt ognistego jądra, który bezustannie kruszy i rozrywa cienką skorupę świadomego bytu i wszelkich obowiązujących prawideł: „To ci wolno, a tego nie!“ — Wieczne zmaganie się Jakóba z Aniołem:

Dla twórcy fikcyjnej rzeczywistości jest człowiek ośrodkiem, wobec którego wszystko się obraca, tym samym ośrodkiem, jakim była ziemia w systemie Ptolomeusza — jest rozpędową siłą, a wola jego i moc ma przyczyny tylko w swej własnej wolności i tylko własnym wolnym wyborem jest zawarunkowana.

Dla twórcy, który głębiej w życie duszy sięgnął, jest ono całe w rękę i mocy nieznanymi mu siłami. Akta jego woli dawno są już w podświadomości gotowe, zaczem mu się uświadomić zdołają, a cała jego świadomość, cały jego potężny mózg jest na to, aby skonstatować i zaprotokółować, że się coś dzieje, albo, że się coś stało.

Życie fikcyi jest „chciane“, samowolnie kierowane przez danego osobnika. To wszystko, co się dzieje, mogłoby się stać tysiącokrotnie inaczej, bo wszystko to jest zależne od wolnego wyboru woli człowieka.

Przeciwnie życie nowego światopoglądu jest bezwzględnie konieczne i żadnej odmianie nie ulegające — obraca się w tych samych niezmiennych kołach, jakie dla życia gwiazd zostały wyznaczone. Dla wszystkiego, co się dzieje, istnieje tylko ta jedna jedyna, niezmienna żelazna możliwość, bo to życie nie ma przyczyny w wolności woli, ale składają się nań miliardy nieznanymi nam całkiem przyczyn.

Mózg fikcyjnej rzeczywistości zajmował się światem zewnętrznym jako czemś, co poza mózgiem istof-

nie istnieje, stąd prawidłowość i jasność w przedstawieniu raz już ustalonych stosunków, przyjętych norm, niewzruszalnych praw. Na odwrót mózg jedynej, to znaczy: własnej, wewnętrznej rzeczywistości daje świat tylko jako centralny obraz w bezustannych zmianach i przemianach, a więc świat nawskroś subiektywny. Jeżeli pierwszy sili się na możliwą obiektywność, na utrwalenie obrazu życia zewnętrznego, jaki się w możliwie największej ilości mózgów — a więc całego społeczeństwa — przedstawia, drugi konstatauje tylko obecność tego obrazu li tylko w swoim mózgu, a który bezustannie wskutek słabszego lub burzliwszego falowania oceanu Duszy się zmienia.

W mózgu fikcyjnej rzeczywistości musi się z konieczności biały kolor kojarzyć z białym — w mózgu wewnętrznej rzeczywistości wywołuje biały kolor Bóg wie jakie uczuciowe skojarzenie: powiąże się z dźwiękiem, stanie się dziwną jakąś symfonią, wywoła szereg wizji, których ukrytych związków nie sposób sobie uświadomić.

I dla tego też dla profesora Tarnowskiego, twórcy krakowskiej szkoły „krytyki literackiej“, jest Słowacki „biednym Słowackim“ — „fenomenem patologicznym“ — Seweryn Goszczyński „krzykaczem pozbawionym zdolności poetyckich“, natomiast stary Koźmian „mistrzem i posągową postacią“, a „Rodzina Połanieckich“ to najwyższy szczyt twórczości, na jaki Henryk Sienkiewicz wznieść się zdołał.

Ale już dla Spasowicza staje się w sztuce „zaciekanie się w winy ludzkie rzeczą zupełnie podrzędną“, odrzuca zatem posłannictwo sztuki jako moralizatorki, natomiast z tem większą srogością występuje przeciwko wszelkim tak zwanym mistycznym objawom ducha słowiańskiego: może najgłębszej i najistoźniejszej jego podstawie.

Towianizm Mickiewicza budzi w nim zajęcie „przeważnie jako zjawisko patologiczne“, a przejaw mistycyzmu duszy słowiańskiej w tak zwanym Towianizmie nazywa wprost „aberracją umysłową“.

KLĄTWA CIAŻĄCA NAD ROZWOJEM MYŚLI POLSKIEJ.

Byłoby zbyt cennym powtarzać to wszystko, co w Polsce o literaturze polskiej pisano, gdyby nie ta okoliczność, że chyba nigdzie w Europie krytyka literacka nie stworzyła takiego zamętu pojęć, nigdzie nie wywierała takiego potwornego teroru na rozwój literatury, jak właśnie w Polsce.

Żądał Mickiewicz od człowieka, który pragnie z sztuką obcować, onego pewnego natchnienia, któreby jego duchowi pozwalało zefknąć się bezpośrednio z duchem sztukmistrza. Wrażenie, jakiego ma doznawać, ma być nie czem innym, jak tylko zefknięciem się wewnętrznym z „artystą“. Tymczasem w Polsce zefknął się duch twórczy z oschłem,

ciasnem doktrynerstwem, z starczem, lęklivem cofaniem się przed każdą śmielszą prawdą, z wrogą nienawiścią ku wszystkiemu, co wybiegało po za ciasny, ograniczony, płaski obszar pojęć najprzeciętniejszego mózgu. Wyroczniami w sprawach Sztuki stali się politycy, a raczej przywódcy pewnych partyj politycznych, jak Tarnowski z całą swoją „szkołą krakowską“, adwokaci i ludzie, wcale pożyteczni w obrębie swych specjalnych zawodów, jak Spasowicz, pedagogzy i filolodzy jak Piotr Chmielowski, (swoją drogą jedyny, który starał się być sprawiedliwym dla przejawów Ducha, choć ich nie rozumiał), ludzie, którzy przystępowali do artysty i jego tworu z istic chamską zaciekłością, jak Trefiak, mszczący się na nim za to, że nie był zdolen go chociaż w drobnej części objąć, zasię znowu tacy, którzy nie zdolali wyjść ponad szufladkowanie pewnych, dla nich zupełnie niezrozumiałych wartości; ale o jakimś „intuicyjnym“ wniknięciu w twór artysty, o jakimś rozplomienieniu się duszy tym tworem, o wewnętrznym jego przeżyciu ani śladu nie znajdziesz w tych setkach tomów. O wszystkim w nich mowa: o kwestjach moralności, o pożytku społecznym, o zasadach politycznych — znajdziesz spory o wartości tego lub owego systemu filozoficznego lub etycznego, znajdziesz utyskiwania, że twórca śmiał być innego zdania, jak jego wszechwiedzący krytyk, znajdziesz wreszcie bezsilne urągania, a nawet wprost ordynarne wyzwicka na to wszystko, co przekracza możność

ujęcia „zdrowym“ rozumem, ale nie znajdziesz nigdzie chociażby odrobiny tego, co jest istotą prawdziwej krytyki — intuicyjnej krytyki, a taką tylko z natury rzeczy krytyka być może:

Odtwórczości!

„Żeby pojmować sztukę, żeby pojmować filozofię i nawet żeby pojmować przyszłość, trzeba koniecznie wydobyć z wnętrza swojego ten ó n boski, który się w niem znajduje!“ woła Mickiewicz, a na nieszczęście sztuki polskiej, a szczególnie literatury, zajęli się nią ludzie, w których duszach ani śladu onego „tonu boskiego“, natomiast zawiść partyjna, zaciekle nienawiść przeciwko każdemu śmielszemu wzłotowi ducha, pyszałkowata zarozumiałość ciasnoty i ograniczenia, starcza zapalczywość, która się nie cofa przed żadnym podstępem, żadnym choćby najmarniejszym środkiem, by powalić na drodze tych, którzy się z cuchnącego, zgniłego ich Ghetta wyrwać pragną.

Grzechy tej „fachowej“ krytyki nie dałyby się spisać na wołowej skórze, choćby na tak cieniuteńkie paski pokrajanej i tak wielki obszar zajmującej, jak skóra, którą Eneasza dostał w podarunku.

Ale to już nie grzechy, to ciężkie występki, bo czynność naszej „krytyki“ przerwała rozpęd myśli polskiej, pragnęła ją zabagnić, zatruć i zanieczyścić jej źródła — starała się zniszczyć i zniweczyć wszystkich tych, którzy jej byli niewygodni, kruszyła posąg olbrzymów, jak Słowackiego i Norwida, a na

pedestał stawiała przeciętną mierność, płaską normę, higienę, pożytek i najordynarniejszą etykę.

Literatura polska była od czasów naszych wielkich wieszczów aż pod rok 1890 ty śmieszną areną starć najrozmaitszych światopoglądów, które z Sztuką nic nie miały wspólnego, odzwierciedleniem ostatecznego bankructwa politycznego i umysłowego Polski, a w końcu oddała się na usługi płaskiej maksymy Rousseau, a później Thiersa: „Enrichissez — vous!“, stała się jej pośredniczką w jej najrozciąglejszem, utylitarnem znaczeniu.

Zapoznano zupełnie istotę sztuki jako nici, łączącej człowieka z boskim pierwiastkiem, nie chciano nawet o tem słyszeć, że sztuka jest niczem więcej, jak tylko wizyjną anamnezą przedbytowego istnienia, że głównem jej zadaniem to szukanie dróg do utraconego raju, przenikanie ciemnych tajemnic pozaświadomego bytu, rozwiązywanie dla mózgu i pięciu zmysłów niedostępnych zagadek — że głównym jej celem to prometeuszowskie zapasy z Nieznanem, by mu jak najwięcej ognia skraść i coraz większe obszary ciemnych mroków Podświadomego dla Świadomości rozświecić; a ciasny mózg społeczny, zdolny działać tylko na krótką metę w ciasnym obrębie chwilowych, ale pewnych korzyści, trzymający się ściślejszej zasady, że lepszy wróbel w garści, niżli gołąb na dachu i bliższa koszula ciała, niżeli odzież — potępiał bezwzględnie i fanatycznie wszy-

stkie wielkie porywy jako „niedorzeczne mrzonki”
„chorobliwe przejawy”, a

„wieczny rewolucjonista
pod męką ciała leżący duch”

wywoływał co najwyżej pobłażliwy uśmiech polity-
wania.

„Zdrowy”, ale piekелnie ciasny i ślepy rozsądek
o najprzeciętniejszej wartości etycznej skierowanej
li tylko w kierunku najordynarniejszego utylitaryzmu,
zapanował wszechwładnie nad sztuką: wszystko, co
się z pod tego jarzma wyłamać miało, nazywało się
„kierunkiem umysłu skrzywionym, niezdrowym i w
owocach swej twórczości bardzo szkodliwym” (Jan
Gnatowski).

Wszelakie zdrowie, wszelakie rozsądzanie o tem,
co szkodliwe lub nieszkodliwe dla ogółu, wziął w
arendę nieomylny i jedynie zdrowy instynkt utylita-
ryzmu i groszoróbstwa. „Zjadacz chleba” wyroko-
wał o najgłębszej treści duszy ludzkiej.

Wogóle jedno głębokie i fatalne nieporozumie-
nie. Bo w wszystkich tych namiętnych sporach, tych
zaciekłych ujadaniach, nie chodziło ani o starą ani
o nową sztukę, (bo tego rodzaju rozdzielenie jest
nonsensowym absurdem, gdyż niema ani starej ani
nowej — sztuka jest jedną i niepodzielną, środki
tylko się różnią —) chodziło jedynie o społeczne po-
glądy, partyjne przekonania, moralne zasady, ale
o sztuce całkiem zapomniano.

Dla Tarnowskiego nie istnieje poeta tej wielkiej miary jak Ryszard Berwiński, bo to buntowiszczyk, natomiast imponuje mu pierwsza lepsza marnota literacka, o ile odpowiada jego społecznym i politycznym przekonaniom.

Dla Spasowicza nie istnieje „Konrad Wallenrod“, ten najpotężniejszy wyraz, jaki rozdarła, tarzająca się w ostatniej rozpacz dusza narodu znalazła, jego interesuje przedewszystkiem prawnicza kwestya zdrady!

Jednej tylko muzyce pozostawiono prawo istnienia samej dla siebie, bo o ile sobie przypominam, niema jeszcze rozprawy nad pożytkową korzyścią, jaką muzyka Szopena społeczeństwu polskiemu, lub też jakiegokolwiek innemu przyniosła.

ZARANIE WALKI Z MGŁAWICAMI. DAL- SZE TACZANIE SIĘ PO MANOWCACH.

Rok 1891 zapisze się niezafartemi głoskami w dziejach piśmiennictwa polskiego. Pierwszy Zenon Przesmycki (Miriam) miał na one czasy tę niesłychaną odwagę, by pogruchotać stare tablice niezłomnego kodeksu, na podstawie którego niezawodnie i bezopornie, z bałwochwalczą czcią oceniano rzeczy sztuki i dokonał przełomowego czynu:

Istotna sztuka jest w treści swojej metafizyczną — głąb wewnętrzna, nieskończoność, ukryta na

dnie duszy jest, obok właściwej naturom poetyckim umiejętności ich oddania, najważniejszym z warunków i najpierwszym ze źródeł piękna poetyckiego.

Istotna sztuka jest w formie symboliczna — zawsze nią była i jest; ukrywa za zmysłowemi analogiami pierwiastki nieskończoności, odsłania bezgraniczne, pozazmysłowe horyzonty.

I dla tego wita Przesmycki w Kasprowiczu dzieść lat później „cudowną transfigurację poety: oto z niewolnika dotykanej rzeczywistości, z głosiciela szczęścia dla wszystkich urasta nagle w oczach kolosalny, wyzwolony orficzny pieśniarz najgłębszych i metafizycznych pierwiastków ducha człowieka“.

Ujęcie piękna jako najgłębszego pierwiastka duszy ludzkiej, żądnej przenikania pozazmysłowych tajemnic Bytu — wyznaczenie celu sztuki w szukaniu metafizycznych perspektyw, odsłanianiu „nierozdzielnej całości i jedności bytu“ bez względu na jego utylitarystyczne przejawy — to wielki, iście przełomowy i rewelacyjny czyn, którego dokonał Przesmycki w poglądzie społeczeństwa polskiego na istotną Sztukę.

W Zenonie Przesmyckim urzeczywistnił się w całej pełni ideał onego krytyka-artysty, o którym Mickiewicz marzył, a który za pomocą „natchnienia“ zdołał się wczuć w najtajniejsze intencje twórców, wydobył z wnętrza swego ów „ton boski“, który mu pozwalał zetknąć się bezpośrednio z „tonem“, rozgranym w każdej duszy twórczej; a gdy o coś wy-

niosłego uderza, to według słów Edmunda Burke, gdy mówi o przeżywaniu artystycznego tworu, „dreszcz go przebiega, pierś mu się podnosi i oko otwiera się szerzej“. Przesmycki pierwszy w onym czasie posiadał ów „specjalny organ“, potrzebny do uczucia sztuki, o którym Schelling mówi, niezbędny, by mózg swobodnym i wyniosłym lotem za ludźmi natchnionymi w przyszłość wybiegać i on też pierwszy wyprzągnął Sztukę z sromotnego jarzma „pożytku“ i odwiązał ją od pręgierza wszelakich tendencji.

Skromny a niesłychanie w skutkach doniosły wstęp Miriama do jego tłumaczeń „Wyboru pism Maeterlincka“, drukowany 1891 roku w „Świecie“ dał ideową podstawę dla tak zwanej „Młodej Polski“ i Miriam dokonał tego rewelacyjnego przewrotu w pojęciach o Sztuce, nie zaś, jak mylnie, a może rozmyślnie krytycy literatury współcześni twierdzą — Przybyszewski.

To, co Miriam spokojnie, rzeczowo, z zasobem ogromnej erudycji i kultury literackiej w swoim Wyznaniu wiary — wstępie do Maeterlincka — powiedział, to samo — innemi tylko słowami — bluzgnął Przybyszewski społeczeństwu w twarz 1900 r., a więc dziesięć lat później w swoim namiętnym, zbyt apodyktycznym „Confiteor“ w „Życiu“ krakowskim.

Spokojne, rzeczowe, bez porównania głębsze wywody Miriama przebrzmiały bez silniejszego echa, ale wyzywające na pięści, w najwyższym stopniu

drażniące fanfary Przybyszewskiego, znalazły posłuch.

Nie od Przybyszewskiego zatem, ale od wystąpienia Mirjama datuje się tak zwana „Młoda Polska“.

Czyn Miriama tem donioślejszego nabiera znaczenia, o ile, że przypadł na okres najwięcej rozpanoszonego królowania w dziedzinie umysłowości polskiej tak zwanego „Pozytywizmu“, — wszechwładztwa tego, co Nietzsche nazywał „Bildungspöbel“ — oligarchii motłochu z śmiesznymi jego uroszczeniami do panowania nad wszystkimi przejawami ducha ludzkiego — z jego nieomylnymi pewnościami i całą jego niewzruszalną doktryną i maniacką wiarą w autorytety.

Jałową pod względem sztuki epoka pozytywizmu, w której artysta został doszczętnie wepchnięty, w jarzmo „organicznej pracy“, kiedy „święty“ szal twórczy, został ostatecznie uznany za rodzaj obłądu, natchnienie i wszelki górny wzlot za coś, co się w żaden sposób z zdrowym rozsądkiem pogodzić nie dało, a poza tem było dla społeczeństwa, które niedawno jeszcze Wielopolski z obłądu romantyzmu wcale nie bezskutecznie wyleczyć pragnął, w wysokim stopniu szkodliwe — otóż ta epoka jasnego, zdrowego, z wszystkich mistycznych oparów wytrzeźwionego mózgu, miała tę doniosłość, że w niej właśnie, nieokiełznany, wiecznie buntowniczy mózg polski jął się przyzwyczajając, a raczej przewyciężać do ścisłego myślenia, a zbył namiętny, by utrzymać rów-

nowagę na pośredniej, wązkiej ścieżynie, rzucił się na przelaj i ocknął się w chwilowym tryumfie — mniemając, że już się teraz na bity szlak dostał, — na manowcach Myśli polskiej.

Od razu zerwał z całą przeszłością — z niezrównaną wyższością patrzył na poezję i sztukę wogóle, boć to tylko luksusowa funkcya niedowarzonych, wpół opętanych mózgów, które, gdy się opatrzą, tych wybryków młodzieńczych nie omieszkają się powstydzic; — o Słowackim doszczętnie zapomniano — Mickiewicz istniał jako twórca „szlagońskiej“ epepei „Pan Tadeusz“ — Krasieńskiego zmonopolizował hr. Tarnowski: poromantycznego „epigonizmu“ nie stworzył brak sił twórczych w narodzie — bynajmniej — wytworzył go trzeźwy, jasny, rozumny instynkt społeczny, który miał już nadto bujania po górnych obłokach i znużył się przechadzkami z Polską po Alp szczytach.

Nie rozumiano tych wielkich, wiecznych, prorocznych przeczuć i proroczej wiedzy w „Księgach Pielgrzymstwa“, „Król Duch“ był aberacją życia Wszechświata, a „Genezis z Duch“ prostem, gorączkującym delirium. — Natomiast zapanowała wszechwładnie po chwilowem zlikwidowaniu wszystkich niemal rachunków Myśli polskiej — wiedza, nauka, skręć z zawrotnych wyżyn Ducha do nizin uchwytniej namacalności.

Istotnie, twórcze siły jak Norwid, Leonard Sowiński, Ryszard Berwiński, z natury rzeczy więdnąć

i marnieć musiały, a jeżeli w tym zalewie pozytywizmu mógł się ostać Artur Grottger, to nie tyle dla swego arcyzmu, dla którego zrozumienia nie było, ale dla tego, że był ilustratorem niedawno ubiegłych a tak bolesnych przeżyć. Ten sam artysta, który stworzył wspaniałą alegoryę „Wojny“, zawdzięcza swoją popularność ilustracyom bieżącej chwili.

Cała myśl polska, sięgająca najwyższych szczytów, dla myśli wszechludzkiej dostępnych, została zawleczona nagle pod gilotynę tendencji społecznej: uwielbiana i nad miarę wywyższona, jeżeli jakkolwiek „pożytek“ przynosiła, bezwzględnie potępiana, jeżeli naród nijakich korzyści z niej nie odnosił.

Już Słowacki nad tem biadał: „Ciągły w nich (sc. Polakach) materializm, a co gorsza, że dość wykształcony i różnojęzyczny. Mądrości polskiej nigdzie. Człowieka także z siebie mówiącego, nigdzie nie słyhać. Nic twórczego. Duch św. nie wionął na waszą okolicę. Nikt nad szumem łąnów nie wznosił się i nie przeszedł ze spokojnością Chrystusa.“

Dusza poety, ta tajemnicza władza kształtowania życia nie według przypadkowych jego objawów, ale istotnych, rdzennych, wieszczym tylko duchem dających się ogarnąć głęboko ukrytych pierwiastków, została przytłoczona do zwycięskiego rydwanu płytkiego racjonalizmu, wszelkie objawienia, wszystkie dociekania prairów Bytu wykpiwającego Rozumu. Trzeźwość i jasny rozsądek zdzierał zasłony nieba

na ziemię, świętokradzko je deptał — prawda realna
kazała wszelaki objaw poezyi, który sięgał w byt
transcendentalny, uważać za obłąd, wszelkie obja-
wienia za chore majaczenia i „patologiczne fenome-
na“; a potężny dwuwiersz wielkiego wieszczka, gdy
radził młodości:

„Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga;
Łam — czego rozum nie złamie!“ —

uważano za przyczynę wszystkich klęsk narodowych.

A to jeszcze tak niedawno temu, bo w 1876 ro-
ku, Fr. Krupiński wytoczył tę ciężką kolubrynę oskar-
żeń przeciw Romantyzmowi w „Ateneum“. Cóżby
dopiero powiedział o tej „Młodej Polsce“, która w
istocie rzeczy jest niczem więcej, jak tylko odrodze-
niem „Romantyzmu“. —

A jednakowoż ta epoka pozytywizmu, która by-
najmniej w literaturze nie rozpoczęła się „Prawda“
Świętochowskiego, ale już od 1850 roku wszechwła-
dnie panoszyć się ją — raz jeszcze to podkreślam
— była dla wytworzenia się „Młodej Polski“ niesły-
chanie doniosła, była tem, czem był t. zw. „upadek“
literatury polskiej po Kochanowskim — „upadek“,
z którego dźwignął się Duch polski w „Romanty-
zmie“.

Tamten dwuwiekowy „upadek“ raczejby można
nazwać koniecznością wypoczynku po niesłychanych
wysiłkach co dopiero przebytej drogi i wypoczynkiem
była epoka pozytywizmu dla poezyi polskiej — ale
tak samo on słynny „upadek“ jak i „pozytywizm“

polski — to tylko bańki moczarne, świadczące jedynie o jakiejś mozolnej, twórczej pracy, dokonywającej się w łonie Ducha Polskiego. Ta jedna tylko różnica, że „upadek“ po „złotej epoce“ był gnuśnem wylegiwaniem, obłędnem taczaniem się po jałowych manowcach, „pozytywizm“ zaś wprzągnął myśl polską do ciężkiej, mozolnej pracy umysłowej.

Z gorączkową namiętnością przerzuciła się myśl polska ze skrajnego „romantyzmu“ do również skrajnego „realizmu“, jaki się był po on czas na Zachodzie rozpanoszył.

Bóg przestał istnieć, bo jak pouczał Comte, umysł ludzki tylko na najniższej fazie rozwoju Boga przyjmuje. — Pojęcia metafizyczne również nie mają prawa bytu — tylko to, co doświadczenie i badanie uczy, to jedynie ma wartość. Lombroso i dziecinny jego epigon, Max Nordau, wykazali, że to, co „geniuszem“ nazywamy, jest w istocie rzeczą niczem więcej, jak patologicznym objawem, chorobowością *sui generis*, — Taine ze swojemi trzema mechanicznemi postulatami, by cel dzieła sztuki, jakim jest jakaś istotna cecha, górująca nad innymi w tworze artysty, osiągnięty został, pokutuje jeszcze do dziś dnia w naszej krytyce literackiej; — coraz gorętszych adeptów zyskiwał płaski materializm Büchnera, Vogta, Haeckla, a w dalszym ciągu szkoły monistycznej, — Stuart Mill, Spencer, zwiastuni trzeciego testamentu, jaki ludzkości przez Anglię przekazany został; szczęścia i błogości w tem, co jest pożytecznem, za-

jęli miejsce na ołtarzu, zbudowanym przez Wielką Rewolucję dla „Dieu-Raison“, na którym ongiś przez Napoleona zdeponowana awanturnica, wyobrażająca bóstwo Rozumu, zasiadała.

Maluczko, a „organiczna“ praca stworzy „organiczne“ białko, z którego „organiczne“ ameby powstaną — maluczko, a jak najdokładniej i najściślej będzie można wywieść byt organiczny z nieorganicznego, a niestrudzony Prometeusz — Rozum ludzki — rozwiąże wielką zagadkę powstania Początku — jeden mały krok dalej, a okaże się, że Szafan nie kłamał, gdy przyrzekał: *Eritis sicut Deus!*

A wszystkie te nauki, teorie, pewniki odbiły się rozgłosnym echem w mózgach twórców-pisarzy.

Zadaniem artysty było dostarczać nauce przeolbrzymiego mnóstwa „documents humains“, które uczony z natury rzeczy łatwo mógł przeoczyć, albo też dokumenty nie były mu całkiem dostępne. Jego zadaniem stało się postawić jakąś jednostkę w takiej a takiej milieu-klatce, obserwować ten lub ów „*coin de nature*“ widziany przez swój temperament, a tym materiałem z bogacać Wiedzę i Naukę.

Jak dawniej Filozofia była służebnicą Kościoła, jak Sztuka piękna u nas była służebnicą Społeczeństwa, tak w tym samym czasie stała się Sztuka w tak zwanym Naturalizmie służebnicą Wiedzy i Nauki.

Zaciekły fanatyk pozytywizmu, cyklop pracy, obdarzony niesłychanym temperamentem, Emil Zola, tworzy potworne dziwolągi ludzi, eksperymentuje

nimi, wymaga od nich rzeczy, którychby nawet on słynny rabin praski od swojego „Golema“, którego był sobie w najcięższych pracach pomocen, nie był wymagał, jak Herkules przywiązywał człowieka do dwóch konarów, które w rozprężeniu na poły go rozrywały, ale z tem wszystkiem — zaciekły, bezwzględny i istotnie wielki wyznawca wiary w nieomylność pozytywnej wiedzy, uczeń apostoła „Milieu“ Tainea i Claude Bernarda, tworzy „le roman expérimental“, który blisko dwadzieścia lat wszystko inne w literaturze francuskiej nielitościwie przemilczaniu i jak najzupełniejszej obojętności ze strony publiczności czytającej przekazywał.

Któż wtedy słyszał coś o Villiers de l'Île Adam'ie — kto o Barbey d'Aurevilly — Mallarmé, lub o Verlaine, którego „La Sagesse“ w siedmnastu zaledwie egzemplarzach się rozeszła?

„Le roman expérimental“ ujarzmił całą Europę, jako coś niesłychanie imponującego swoją siłą odwagi. — Po raz pierwszy odważył się artysta pomyśleć, że i jemu przysługuje to samo prawo co każdemu człowiekowi wiedzy, by badać wszystkie zjawiska życia z tą samą śmiałością i z tem samym „samo się przez się rozumie“ — wszystko jedno, czy chodzi o najszlachetniejsze zwierzę, czy też o oślizgły płaz, o najkosztowniejszy kwiat, czy też o trujące zielsko.

I byłby spełnił Zola on wielki postulat Barbey d'Aurevilly, że powieściopisarz mógłby stać się Tacy-

tem lub Swetoniuszem w literaturze, gdyby świeżo nabyta wiedza i pewność rozwarcia wszystkich pięczęci fajemnic Nieznanego nie była go oszołomiła.

Lepił ludzi potworów, ludzi-mastodontów z gliny dawno, — ach, jak już dawno przeżytych naukowych teorii, kazał im się tak poruszać i żyć, by — na Boga żywego — teorii dziedziczności kłamu nie zadawali — i ot: nie tworzył ludzi, ale potworne, czasami nawet bardzo piękne kategorie.

Naturalizm Zoli tylko u nas zaszczepić się nie mógł. Spróbowała tego Gabryela Zapolska w „Kaśce Karytydzie“ i w „Przedpieklu“, ale próba ta wywołała tak niesłychane oburzenie społeczeństwa, że nikt się już na jej powtórzenie nie odważył.

Naturalizm Zoli, brutalny, miażdżący, który bezlitośnie wyciągał z teorii naukowych wszelkie możliwe i niemożliwe i nieprawdopodobne konsekwencje mocą swego nieokiełzanego „temperamentu“ — natrafił tu na naturalizm, który mocą równie silnego temperamentu, tylko w odwrotnym kierunku, lepiał z bogatych brył przeszłości, historii, religijnych dogmatów, kategorie cnoty, wzniosłości, bohaterstwa i poświęcenia: kategoryom występku i zbrodni Zoli przeciwstawiał naturalistyczne kategorie cnoty.

Mutatis mutandis ta jedna tylko różnica, że twórca Naturalizmu ponoć nie miał „Idealu“, (miał-ci go on, gdy w swoim cyklu Rougon-Macquard przedstawił całe szkaradziństwo zepsutej burżuazyi francuskiej), a przeciwnie twórca Naturalizmu pol-

skiego, hr. Henryk Rzewuski, całkowicie go posiadał, gdy w swoich powieściach wielbił cnoty szlachty i rozkosze czasów Saskich.

Jednym słowem: Naturalizm francuski tarzający się w błocie, w wszystkich występkach i zbrodniach, z sadystyczną rozkoszą oddający się, według złośliwego powiedzenia Nietzschego, „der Lust am Sfin-ken“ — spotkał się już w Polsce z naturalizmem swojskiej cnoty, swojskich obyczajów, z wzorem nadmiernie pobożnego Chateaubrianda, o którym to, ultra-kościelnym pisarzu, Barbey d' Aureville twierdzi, iż był tak pobożny, że za ledwie oddechem dalekim odważył się grzech przemusnąć.

Tam i tu: nie życie, tylko jego kategorie, uznane jako rzeczywistość — wszystko jedno, czy uświęcone dogmatem narodowym, społecznym, lub też religijnym, albo fanatyczniejszym jeszcze dogmatem naukowym.

N'importe!

I tak zetknął się naturalizm — z natury rzeczy kategorijski i dogmatyczny — naturalizm cnoty i dobrych obyczajów w polskiej literaturze z równie silnym dogmatycznym naturalizmem występku i zbrodni w literaturze francuskiej.

Tem się tłumaczy, że w literaturze polskiej t. zw. „naturalizm“ Zoli nie mógł znaleźć żadnego oddźwięku i cały ten okres w piśmiennictwie europejskim z polskiego został wymazany i niczem wogóle prócz „Kaśką Karyatydą“ się nie odznaczył.

U nas pojęcie „naturalizmu“ zostało fatalnie pojęte — nie odnosiło się do metody twórczości, ani do jej środków — użyte zostało jako synonim ohydy, bluźnierstwa, pornografii. Zapomniano o tem, że Twórca „La terre“ napisał również: „Le rêve!“

A przecież wszyscy nasi powieściopisarze, nie wyłączając Sienkiewicza, byli na wskroś naturalistami.

Nikt lepiej od nich nie umiał tak wspaniale odmalować „milieu“, nikt szerzej i dokładniej nie opisywał zdarzeń zewnętrznych, nikt sumienniej od nich nie przestrzegał świadectwa zmysłów i tego, co na rozum brać można i nikt pilniej na to nie baczył, by właśnie „tam tylko sięgać, gdzie wzrok sięga“ i nie kusić się na łamanie tego, czego — według Mickiewicza — żaden rozum nie złamie — bo na to innych, przez naszych naturalistów nieuznanych po tę potrzebą.

Z równą skrupulatnością jak Zola wywodzą rodowody bohaterów, lubowano się w nieskończonych opisach ich środowiska, z nieustrudzoną cierpliwością opisywano jak kto wyglądał, jaka matka go rodziła, w jakim otoczeniu się chował — nie uznawano tylko naukowych terminów, w imię których Zola wojował i nie miano odwagi dotykać ponurych i ciemnych stron duszy.

Jeżeli Zola z fanatyczną wiarą wskakiwał na ostatni express, jaki ówczesna Wiedza w świat wysyłała (porównaj „Docteur Pascal“), to z nierówną uporczywością trwał naturalizm polski przy swoich

postulatach: pożytku dla społeczeństwa, krzepienia go i kształcenia: — ale tak naturalizm francuski jak polski miał wyraźną cechę pedagogiczną, a jeżeli Zola mógł śmiało twierdzić, że jego „L'Assomoir“ jest „ekstraktem moralności, ujętej w ramy powieściowe“, równym prawem może wielki twórca Trylogii podkreślać, że pisał ją dla „pokrzepienia ducha narodu“.

W tem wszystkim nie spotyka się ani słowa o sztuce samej.

Spory czysto etycznej natury przeniesione zostały, jak najfatalniej w świecie, na grunt estetyczny.

Pozytywizm sam nie stworzył ani jednego dzieła sztuki w Polsce.

Sztuka polska nie dała się wprzęgnąć w rydwan „Wiedzy“ i teoryi naukowych, które tak chciwie mózg polski, po wszelkie czasy najchciwszy z wszystkich narodów na wszelkiego rodzaju „Nowinki“, w siebie wchłaniał.

I dobrze się tak stało.

Bo w międzyczasie nastąpiło zupełne bankructwo wszelkich apodyktycznych pewników naukowych. — Teorye, zdaje się, już absolutnie pewne, zostały jedna po drugiej w krótkim czasie zdmuchiwane jak zamki z kart — teorya Darwina jęła chromać — „Kraft i Stoff“ jako pierwiastek Bytu, okazał się absurdem — „dziedziczność“ — prostą kategorią werbalną, daleko głębiej wyrażoną w „Piśmie Świętem“, tylko w innem znaczeniu, kiedy Bóg grozi,

że w siódme pokolenie mścić się będzie. — Okazało się, że etyka, jaką Mill i Spencer głosili, specjalnie tylko do Anglii się odnosi, bo tam tylko pożytek i etyka jest czemś równoznacznem — a twórca molekularnej fizjologii nerwów, Du Bois Raymond, zaczął gwałtownie trąbić na odwrót w swojej pomnikowej mowie: „Die sieben Welträtsel“ — i jego grzmiące „Ignoramus et Ignorabimus!“ było deską do frumny pozytywizmu.

Wszzechwiedzący, wszechmożny, wszechbył ogarniający i nad nim rozpanoszony mózg ludzki, urągający Bóstwu i Nieznanemu rozum, wraz z wszystkimi jego „ścislemi“ metodami badań, doznał ciężkiej porażki, z której już się chyba nie dźwignie.

POWOLNE WYZWALANIE SIĘ SZTUKI
Z POD JARZMA UTYLITARYSTYCZNE-
GORACYONALIZMU. NAWIĄZYWANIE
POZRYWANYCH NICI. — DOTKNIĘCIE
SIĘ DUSZY.

Myśl polska, aczkolwiek niezmiernie wzbogacona wyteżoną pracą, rozszerzona nowymi widnokręgami, ale zbyt już dojrzała i samoistna, by bezkrytecznie przyjmować „Nowinki“ Zachodu, umiała odrzucić plewy od ziarna i nie dała się omamić Antychrystowi: wszechpotędze Rozumu Ludzkiego

— po cichu, pokryjomu jąła nawiązywać, zda się już zerwane nici z tem, co

„nie bronią — broń broń odbije...” i

„nie nauką — prędko gnije“, ale

„uczuciem“, jedynie tylko „uczuciem“ osiąść można.

Panowanie duszy polskiej jest jej odrębne, jej tylko właściwe bytowanie w Duchu. Przeżyła i przetrwała przebogaty, nadmierny prawie materiał duchowy, który do jej skarbnicy napływał, a teraz ku dojrzałości wzmożona przeświadczeniem, że rozum ludzki, którego głębie i szerze wymierzyła, nie wystarcza, by się zadowolić:

„— tą martwą budową, którą gmin światem zowie i przywykł ją chwalić“ — sięgnęła powrotnie do swych istotnych źródeł duszy polskiej i w nich odraźać się jąła.

Co za śmieszne wysiłki wywodzić rodowód „Młodej Polski“ z wpływów francuskich, belgijskich, skandynawskich, kiedy ta cała „Młoda Polska“ jest niczem więcej, jak tylko Renesansem — w szlachećnem tego słowa znaczeniu — Odrodzeniem starego Romantyzmu — a właściwie mówiąc: wiosennym wylewem potężnej rzeki najistotniejszych sił duszy polskiej, jej tylko właściwych. — Mniejsza o to, jakimi dopływami syconą została, boć te od samego początku naszej kultury w rachubę nie wchodzi. Niesłychanie pojemna dusza polska wchłaniała w siebie wszystko, co do niej napływało, ale przetrzymywała ten nadmiar na swój całkiem odrębny sposób, a z

całego chaosu najprzeróżniejszych wpływów rodziła nowe gwiazdy.

„Młoda Polska“ jest tak rdzennie i samoistnie polska, jak był nią „Romantyzm“ Mickiewicza lub Słowackiego mimo Shakespeara, Goethego, Schillera lub Byrona.

„Młoda Polska“, utarty komunał, powtarzany bezmyślnie wśród społeczeństwa, a pod którym rozumiano coś w rodzaju osławionego niemieckiego „Grün-Deutschland“, francuskiego „fin de siècle'izmu“, wiedeńskiej „Secesyji“, włoskiego „Veryzmu“, łączył się u nas w Polsce poza tem jeszcze z pojęciem rozkiełzanego anarchizmu duchowego, pogardy dla wszelkiej tradycyi, półobłąkanego, półpijanego majaczenia garści zdegenerowanych „dekadentów“, wyprawiających tajemnicze, satanistyczne orgie z głównym hierofantą Przybyszewskim na czele — otóż ta „Młoda Polska“, kamień obrazy dla większej części społeczeństwa, nie jest niczem więcej i nigdy niczem więcej nie była, jak powrotem do źródeł duszy polskiej, które się tak potężnie w naszym Romantyzmie objawiły — poszukiwaniem przerwane go związku myśli polskiej, waleniem uporczywym do onego miejsca, które Trzeźwość, Rozsądek, oschły materializm, tak zaciekle zamurować pragnął, a z którego żywe źródło prometeicznej duszy polskiej na nowo buchnąć miało.

„Młoda Polska“ to płomienny protest przeciw siłom pozytywizmu, które coraz już doszczętniej za-

mulało koryto Myśli polskiej, to namiętne wznowienie walki, podjętej przez Słowackiego przeciw „zjadaczom chleba“ — a znameniem dla wystąpienia „Młodej Polski“, to gwałtowne domaganie się sprowadzenia zwłok Słowackiego na Wawel — odnowienie skargi Mickiewicza, gdy wyrzucił Bogu przez usta Konrada, że

„myślom oddał świata użycie,
a serce zostawił na wiecznej pokucie“,
odżycie na nowo wielkiej przestrogi Norwida w Promethidionie:

„Bo nie ten, który z rdzy pancierz oskrobie,
albo w mogiły dawnej zajrzy trzewia,
a prochom dawnym spoczynek naruszy,
wiek pomknie — lecz ten, kto się dotknie duszy!“

I „dotknąć się duszy!“ oto okrzyk bojowy „Młodej Polski“. Jęła zszywać podarte po roku 63 sztandary myśli polskiej, nie tej, która daje pożytek i dobro społeczne, ale tej misyjnej, w której duch polski w Romantyzmie najwyższy tryumf święcił — wdzierała się w wygodne, murem chińskim od wszystkiego, co „wiek naprzód pomyka“, odgraniczone ghetto duszy polskiej, nie uznawała roztrąpności, „karzącej“ ręki, nie wierzyła w odnowienie i odrodzenie w mętach wiedzy pozytywistycznej i wysiłkach „organicznej pracy“, gardziła Thiers’owskiem: Enrichissez-vous! — a więcej jeszcze od Anglików zapożyczonym c a n t ’ e m , może jeszcze spotęgowanym u nas w kłamliwej hypokryzji, świętoszkowatej obłudzie tej gene-

racyi po 63 roku, która rdzą zwańpienia zżarta, a według pisma świętego „chlebem utrapienia żywiona, wodą ucisku pojona“ bluźniła Idealom, jako niedowarzoną mrzomkom i rozpuszczoną była „jako owce, nie mające pasterza“.

I rzekł do nich Pan: „Niech się każdy wróci w pokój“, bo snąc pasterza nie widział. I spełniły się słowa Pana: wrócono w pokój do domów i rodzimych pieleszy, zapomniano o wieszczach i prorokach narodu — wszystkie ich największe objawienia uznano za „aberacyę“ — nie było Mojżesza, który morzu kazał się przed narodem rozstępywać — gdzieś tam jeszcze w ciężkich mgłach majaczył Sinai — zostało Ciało, gnijące przy fłustych garnkach Egiptu, ale Duch uleciał.

I właśnie „Młoda Polska“, to gwałtowna reakcyja przeciw rozleniwionej, gnuśnej, na laurach dawnej chwały rozłożonej duszy polskiej, sytej chleba, szczęśliwej, że mimo rozmaitych ciężkich przejść jednak jako tako spoczywać może. — W tej tak spotwarzanej „Młodej Polsce“ obudził się mocny głos Skargi — rozległ się wielki krzyk Konrada w „Improwizacyi“ i odżył na nowo płomienny bunt duszy Słowackiego: pragnienie Czynu i Mocy.

Stratowany przez apokaliptyczną bestyę straszliwych klęsk narodowych posiew naszych wieszczów jął bujnie wschodzić i w bogaty kłos puszczać, a jeżeli poskąpiono Słowackiemu królewskiego grobu

na Wawelu, to dla tego, że od niego wywodzi „Młoda Polska“ w prostej linii swój rodowód.

„Dotknąć się duszy“, było okrzykiem bojowym garści młodych buntowników, którzy ośmielili się targnąć — przyznając, że zbyt zapalnie, zbyt namiętnie — na to wszystko, co było w narodzie jako wykwit jego rdzennie rodzimej, narodowej sztuki czczone, jako uświęcone, nietykalne tradycje młodemu pokoleniu przekazane, — ale dotknąć się duszy polskiej, to według Mickiewicza dotykać się ran „Cierpiącego człowieka“.

Inde ira!

Polskie społeczeństwo, przywykłe do powieści, w których z niesłychanym przepychem i bogactwem stawiano mu przed oczy jego mocarną, butną potęgę w przeszłości — które widziało w twórcach swoich najczęściej uwielbianych pisarzy własną swą postać tak pięknie zretuszowaną, że wszystkie zmarszczki zostały wygładzone, nawet ślady ospy pięknie zamalowane: to społeczeństwo, w którego imieniu prof. Tarnowski sarka nawet na młodego Sienkiewicza, największego u nas realistę, że razi tu „coś niedobrego, jakaś skłonność do pesymizmu“ — społeczeństwo, które tak nadzwyczajnie rozbawiał w teatrze Bałucki, w powieści pouczał Kraszewski i Korzeniowski, krzepił na Duchu istotnie wielki artysta Sienkiewicz, — (poetyka godnie jeszcze była przez Asnyka w niepoprzecinanych tomach reprezentowana) — musiało z natury rzeczy gwałtownie zaprotestować

przeciw tej gromadce artystów, która przypuściła gwałtowny szturm do szańców i wałów obronnych, wzniesionych przez rozum społeczny, by poza niemi móżdż bezpiecznie „nierozsądną“, buntowniczą duszę polską, spragnioną kresów, „gdzie graniczą Stwórca i Natura“, więzić i karać za to, że ją burzyły wieże i bastiony raz już na zawsze uświęconego kanonu, według którego artyście było wolno tę duszę w swoim społeczeństwie tylko w ten a nie inny sposób, to znaczy w jak najpochlebniejszym — sielskim i anielskim — zwierciadle przedstawić.

Większego oburzenia, namiętniejszego potępienia nie mógł rzeźbiarz Mała-Guru w powieści Gućkowa u Tybetan wywołać za to, że się odważył nos u swego bożyszczka o ćwierć milimetra ponad uświęcony kanon przedłużyć, niż „Odszczepieniec“ Polak, który się ośmielił [poprzez tryumfalny łuk narodu, jego chwały, jego cnoty i wszelkich zbożnych przymiotów, a nawet i grzechów, ale zawsze niewinnych i odpuszczalnych, wkroczyć w ciemne, brudne, rozpacznie samolubne ghefto jego duszy.

Nic się i dotąd nie zmieniło.

POSZUKIWANIE PRAWDY — ODWAGA: NAJPIĘKNIEJSZE ŹRÓDŁO DUSZY POLSKIEJ.

Pomnijcie, co literat czwarty mówi w scenie siódmej trzeciej części Dziadów, gdy Adolf Ja-

nuszkiewicz skończył opowieść o strasznem męczeństwie Machnickiego, a Dama literatów napomina:

„Czemu o tem pisać nie chcecie panowie?“

A na to literat:

„— mnie by się zdało,

„Że to wcale nie szkodzi, że przedmiot jest nowy:

„Szkoda tylko, że nie polski, nie narodowy,

„Nasz naród się prostotą, gościnnością chlubi,

„Nasz naród scen okropnych, gwałtownych nie lubi;

„Śpiewać naprzykład wiejskich chłopców zalecanki,

„Trzody, cienie — Słowianie, my lubim sielanki“.

Jedno z najpiękniejszych źródeł duszy polskiej jest poszukiwanie prawdy; — znalezienie jej, to tajemnica nieśmiertelności naszych wieszczów. Ogień prawdy może zburzyć walące się karczmy przydrożne na zewnątrz ślicznie pobielane i czyściutkie, jak domki Potemkina, a wewnątrz zawalane brudem fałszu i obłudy i tchórzliwego świętoszkostwa. I w imię tej Prawdy tworzył Wyspiański „Wesele“, Żeromski „Dzieje Grzechu“, Berent swoje „Próchno“, Nowaczyński swoje wściekłe „Małpie Zwierciadło“, — Miciński głosił swoje fanatyczne wyznanie wiary w uniesionym hymnie, jakim jest jego książka: „Do źródeł Polski“, — Artur Górski prowadzi nas w „Montsalwacie“ na szczytne wyże Ducha Mickiewicza, otwiera nam Reymont w swej potężnej epopei chłopskiej „Chłopi“ na oścież wrota do duszy chłopskiej, tak całkiem niepodobnej do tej, którą dotychczas nasi powieścio-

pisarze kąty wycierali, — w imię prawdy rozdziera Kasprowicz pierś swoją wszechludzką, a z niej bucha tyfaniczna w swej grozie spowiedź już nie duszy jednostki, ale ludzkości całej i w imię prawdy, wsłuchany w najtajniejsze tętno duszy Tatr, pisze Tetmajer swą przedziwną baśń „Legenda Tatr“, jakiej równej europejska literatura nie posiada.

A, aby dotrzeć do tego źródła prawdy, na to trzeba było obrazoburczej odwagi niszczenia starych tablic, przemieniania wartości, chociażby jak najwięcej uświęconych, odwagi nastawić czoła, choćby pod grozą, że się znajdzie poza nawiasem społeczeństwa; i tę odwagę nazwano Nietzscheanizmem, — może dla tego, że w „polskim szlachcicu“ Nietzsche-Nieckim, jak się z dumą Nietzsche nazywa, odżyło ukryte źródło duszy polskiej, które z taką mocą buchnęło w Mickiewiczu, gdy z taką dumą, hardą siłą swoim krytykom warszawskim rękawicę wyzywającą cisnął.

Owszem — owszem: Młoda Polska nie ma nic przeciwko temu, że się ją pogardliwie od Nietzschego wywodzi; — zapomniano niestety, że ta sama dusza Zarathustry, która żyła w Mickiewiczu iłowackim, dusza prawdy, Buntu przeciwko kłamstwu, dusza świętego ognia, najwyższego jej napięcia w Natchnieniu, mogła się inkarnować w Nietzsche-Nieckim, którego niesłusznie mianem filozofa prześladowają i niezależnie od niego objawić się w Kasprowiczu, Wyspiańskim, Tetmajerze, czy też Żeromskim.

Właściwie nie zapomniano, — tylko nie zrozumiano ścisłego związku między romantyzmem wywrotu, buntu, prawdy i życia w Natchnieniu a niszczeniem starych tablic Nietzschego — jego ukochaniem w krzyczącym Uniesieniu wieczności — jego gwiazdną Tęsknotą za pierścieniem wiecznego powrotu, jego Szukaniem tajemnic ludzkich przeznaczeń nie w Rozumie, ale w Uczuciu, jego pogonią, nie za szczęściem pożytku, — to szczęście pogardliwie Anglikom zostawiał — lecz szczęściem zespolenia się i zlania z Absolutem, z Wiecznością, z tą samą, samiuteńką, z jaką Bóg Słowackiego na skałach Oceanowych postawił:

„abym przypomniał wiekowe dzieje ducha mojego, a jam się nagle uczułem w przeszłości Nieśmiertelnym Synem Bożym, stwórcą widzialności i jednym z tych, którzy Ci miłość dobrowolną oddają na złotych słońc i gwiazd girlandach“.

A czemże jest „Uebermensch“ Nietzschego, jak on człowiek, dla którego Słowacki do Boga woła o najdoskonalszą, o formę „ostatyczną“ człowieka, bo „w świętości Jego leży wyzwolenie ducha i moc jego przyszła... i mądrość i forma czynu wszelkiego na przyszłość... i zwycięstwo i wolność i wyswobodzenie z pod jarzma fałszu i mocy“.

Skóra się otrząsa na myśl, jak przez tyle lat plugawiono tę świętą, wieszczą koncepcję ducha ludzkiego, który się z coraz niższych do wyższych form w strasznej męce wydzwiguje, kiedy to „zleni-

wienie się Ducha w drodze postępu, chęć pobytowania dłuższego w materji, dbanie o trwałość i o formę wygody, były i są dotąd jedynym grzechem braci moich i Duchów Synów Twoich". „Pod tem jedynem prawem zakłęte pracują słońce, gwiazdy i księżycy" — i dla człowieka, tem jedynem prawem zakłętego, wyczekuje Nietzsche pospół z Słowackim wyzwolenia Ducha, pozostającego w zleniwiałem trwaniu w materji, w wyższej formie — w „Nad-Człowieku".

Czyż z tych wszystkich bezlicznych krytyków, urągających „Młodej Polsce", miażdżących ją zarzutem, że od Niemców przywlekli znowu niszczący miazmat nowinek o „Uebermenschu", żaden nie czytał „Genezis z Ducha"?! a przecież to, zdaniem Słowackiego, najważniejsze pismo jego, jakie kiedykolwiek napisał!

Cóżby Słowacki powiedział, że jego udoskonalający się Duch, którego przeznaczeniem jest przedzierzgnąć się w wyższe, nadczłowiecze formy — jego „Uebermensch" — stał się wyzwiskiem między przekupniarzami na rynku literackim?

BEZRADNOŚĆ KRYTYKI W OBEC NOWYCH WRÓT.

ZAMĘT I CHAOS POJĘĆ. WYWRACANIE POCIESZNE
KOZIOŁKÓW TEJŻE KRYTYKI. — BEZPRZYKŁADNE
NIEUCTWO I NIEZNAJOMOŚĆ ŹRÓDEŁ DUSZY POL-
SKIEJ, WSKUTEK TEGO PĘSZENIE OBCYCH PRĄDÓW.

Wystąpienie tak zw. „Młodej Polski" wywołało
paniczny popłoch w społeczeństwie, które

z natury rzeczy nienawidzi zmian, jakichś przewrotów, wytrącań go z raz już wreszcie, po tylu innych przewrotach, tylu zaburzeniach, wichrzeniach i przejściach wywrotowych osiągniętego spokoju.

Cóż to mogło być? pytał każdy zdumiony, skąd ten bunt, to harde, bezczelne trąfowanie uświęconych tradycji? — (Zapomniano przytem, że z tradycji Romantyzmu nic już prawie nie pozostało) — to chyba jakiś zapamiętały Modernizm!

Och, ten Modernizm!

Słyszano ze zgrozą o jakichś modernistycznych, secesyonistycznych szkołach literackich za granicą, wywracających i burzących wszelaki porządek rzeczy; — sny spokojnego człowieka sstraszyły wizye jakichś Ibsenów, Maeterlincków, Strindbergów, Hauptmannów (!) i Bóg wie jakich Antychrystów; — stamtąd, z rozpustnej Francyi, nową modą opętanych Niemiec, z pod ciemnych gwiazd Skandynawii, zawleczono tę zarazę do Polski!

Nieszczęsne i ostatecznie bezsensowe określenie, które niemiecki pisarz, człowiek niezwykłego talentu, olbrzymiej rzutkości, namiętny „wywrotowiec“, Hermann Bahr, był ukuł dla nowych prądów na wzór literackich szkół francuskich dla Niemiec: „die Moderne“ w przeciwstawieniu stęchłemu zabagnieniu niemieckiej literatury w „Gartenlaube“ — posłużyło teraz polskiej krytyce, by usiłowania garstki ludzi w Polsce, pragnących nawiązać zerwaną nić myśli

polskiej i „dotknąć się duszy“, ochrzcić i ośmieszyć ją pokraczną nazwą „modernizmu“.

Publiczność oczywiście, prowadzona na pasku przez tak zwaną krytykę, która nie przebierała w środkach, by bronić starych pozycji, nie wiedziała o co chodzi. Święcie wierzyła, że modernista to bezbożnik, plugawy anarchista, który chce burzyć stare świątynie — libertyn, który pławi się w brudach płciowych orgii i t. d. — i ani przez głowę jej nie przeszło, że i Mickiewicz i Słowacki byli swego czasu stokroć większymi „modernistami“, aniżeli ci, których w dobie obecnej tem mianem szkalowano, wyklinano i prześladowano.

Tak samo jak odrodzenie duszy polskiej, wracającej po ciężkich błędzeniach w XVII i XVIII wieku do pierwotnych źródeł, ochrzczono nazwą Romanizmu — strach pomyśleć, jakie się pojęcia po on czas z tem słowem wiązały — tak i teraz ten sam odruch duszy polskiej, jej nawrót ku przeszłości, a równocześnie bujny wzłot poza ściśle wykreślone granice, które twórcy przestąpić nie było wolno, przełamywanie kanonicznych praw, które na każdym kroku wolność myśli i tworzenia pętały, nazwano „modernizmem“.

I tak samo jedna i druga nazwa jest tylko głupią i śmieszną etykietą. Jeżeli już mózg ubogich w duchu nie jest w stanie obyć się bez pewnych mnemotechnicznych terminów, by zrozumieć, iż między Kochanowskim, Mickiewiczem a Kasprowiczem jest tylko

pewien odstęp czasu — zwany w jednym wypadku klasycyzmem, w drugim romantyzmem, w trzecim modernizmem — to zadaniem uczciwej i wszechmocnej krytyki byłoby tym „maluczkim“ wytłumaczyć, że to nie są żadne rozłamy myśli ludzkiej, że orzeczenia te nie oznaczają żadnych przewrotów, żadnych kataklizmów, tylko pewne objawy w jej ciągłości, słabnięciu i wzmaganiu się jej mocy, jej chwile spoczynku, gnuśności i nagłego budzenia się do nowej mocy.

Po cóż to dziecinne szufladkowanie rozpędu myśli, rozrywanie jej ciągłości na okresy i na okresiki? To dobre pod względem mnemotechnicznej pedagogii dla uczącej się młodzieży, ale przecież nie dla dojrzałego społeczeństwa.

Ale jeżeli już się trzymać tego utartego słowa „Modernizmu“, to bezwarunkowo największym modernistą w Polsce był Kochanowski: wyparł wszechwładny język łaciński z poezji polskiej i stworzył z mocno poniewieranej czesko-polskiej „lingua vulgaris“ wytworną, szlachetną, niezmiernie subtelną harfę o nieprawdopodobnem bogactwie strun: język polski.

Zupełnie nieprawdopodobnym modernistą był Mickiewicz w swojej „odprawie krytykom warszawskim“ i w tem znaczeniu modernizmem była „Młoda Polska“ — dziś już przez krytykę uznana — maluczko, a przyjdzie znowu jakiś — nie „nowy“, nowość jest absurdem — ale taki, który kanon, stworzony przez „Młodą Polskę“, o pół centymetra przekroczy

i znowu podniesie się straszny wrzask w krytyce i panika między czytającą publicznością.

Tak było od wieków i po wieki tak pozostanie.

Nowe prądy?

Nie ma ani starych ani nowych. — Myśl ludzka jak potok górski: pędzi naprzód, rozrywa skały, spada w doliny, tworzy jezioro, płynie dalej — tworzą się na niej łąchy piaszczyste, rozpęd się gubi w jakimś leniwem przeciąganiu się, że nie wiadomo, w którą stronę płynie, znowu się wzmacnia dopływami z wszystkich stron, pieni się, burzy, niszcząc wszystko naokół, równocześnie użyźnia — czasami i pod ziemią sobie koryto ryje i znowu na wierzch wypływa, zamula się i rozszerza, czasami wąziutkim paskiem sączy, to znowu wzburzoną wód powodzią po przez brzegi się przelewa.

Rzeka może na jakiś przeciąg przestrzeni utworzyć nowe koryto, ale do starego powraca; — nowem korytem był „okres“, który nastąpił po „złotym okresie“ — a który znowu połączył się ze starem korytem w „Romantyzmie“ — nowem był pozytywizm, użyteczność i wszelkiego rodzaju „zdrowotności ewangelia“ — nawróciła jedna i ta sama, nieodmiennie ta sama Myśl Polska, do starego koryta w „Młodej Polsce“.

Obce wpływy?

Przeszkodziłże Kochanowskiemu, przyjacielowi Ronsarda, namiętnemu wielbicielowi antycznej poezji, wpływ francuskich lub łacińskich pisarzy, by mógł napisać „Treny?“ — ucierpiałż myśl polska

na tem, że Mickiewicz wczytywał się w Goethego i Schillera, a Słowacki był wpatrzon jak w tęczę w Byrona i Szekspira? A Siekiewiczowskie „Bez dogmatu“ czyż nie przewyższa tworu Bourget'a, na którym się wzorował?

Obce wpływy?*)

Ależ oczywiście! Myśl Polska jest częścią Myśli Wszechludzkiej — przecież nie tworzy jakiejś egzotycznej oazy, chińskim murem odgraniczonej od wszystkich ościennych narodów. Tylko to nie były wpływy, raczej dopływy do duszy polskiej, które tą mocą swej niesłychanej żywotności bez najmniejszej szkody przyjmować mogła, niemi się bogaciła, bo zbyt jest silną, by nie była w stanie obcego dorobku na swojski dobytek przerobić.

Wiedział o tem Kazimierz Wielki, gdy bez troski Polskę Niemcami kolonizował, nie lękał się germanizacyi, bo aż nadto dobrze wiedział, że mocarna

*) Uwaga. W wysokim stopniu zabawnem, jak ten sam krytyk, który w czambuł potępia Przybyszewskiego, jako epigona niemieckich mistyków, umie usprawiedliwiać i bronić Słowackiego przed obcemi wpływami, mimo to, „że wpływ niemieckiego romantyzmu jest prawdopodobny“: „Idee nie przechodzą tak z rąk do rąk jak pieniądze. One przepływają epoką jakąś jak strumień, a wielu pije naraz jego wodę. Czy ktoś ją pije wcześniej lub później, nie jest bynajmniej tak wielkiej wagi, jak to przedstawiają badacze ideowych genealogii. Z pewnego ogólnego nastroju umysłów wynika, że te same pomysły rodzą się tu i owdzie, pomysły nawet takie, które powierzchowny sąd uznałby za tak specyficzne, że nie podejrzewałby ich indywidualnego charakteru.“ (J. G. Pawlikowski: Mistyka Słowackiego, str. 126—127.

dusza polska wyszła z obcej kultury, co jej potrzebne, wchłonie ją nawet w siebie, wzbogaci się, ale pozostanie sobą.

Wiedział to Kochanowski, gdy wgarniał w siebie całą współczesną kulturę Zachodu — a nie ma w całej Europie humanisty, któryby się z Kochanowskim dał porównać — nie ulegał, ale przetrwał, wysłał z niej co dla polskiej duszy karmem było, wypuł nieużytki.

Jest sztuka polska, ale nie ma jej krytyka. Stąd to chaotyczne pomieszanie pojęć, fałalna kołowacizna i gorsze jeszcze nieporozumienie między twórcą a czytelnikiem.

Wystarczy, aby któryś z twórców powołał się na jakiegoś francuskiego lub angielskiego pisarza, aby się nazywało, że ulega obcym wpływom — starczy już nawet znajomość osobista z obcym pisarzem, by kazać na wskroś swojskiemu twórcy siadać u podnóża tegoż katedry.

Krytyka polska, mimo tylu listownie głębokich kulturalnych i sumiennych przedstawicieli, znajduje się jeszcze w powijakach. Pragnie imponować czytaniem, wiedzą, sypie jak z rękawa obcemi nazwiskami, uwielbia i pod niebo wynosi te same prądy na obczyźnie, które w Polsce z błotem miesza — och! jakie to śmieszne! Oczywiście, że ten wrzekomy obcy pierwowzór jest niedoścignionym ideałem i przed nim w Polsce plackiem się pada — Strindberg czy Garborg, Hauptmann czy też Alten-

berg, Verlaine lub Mallarmé lub Heredia — a ten sam odruch wszechludzkiej duszy w Polsce nazywa się niedołężnem naśladownictwem, secesją, dekadentyzmem, zwyrodnieniem duszy polskiej.

Mało jest tych w Polsce, którzy istotnie przetrwali kulturę Zachodu, którym było dane zdobyć sobie jasną i sumienną miarę porównawczą kultury polskiej z obcą. Przybyszewski, który żył do 30 roku swego życia wśród obcych, poznał doszczętnie kultury tych narodów, których wpływowi rzekomo „Młoda Polska“ miała podlegać, był zdumiony samodzielnością kultury polskiej po powrocie do kraju i kilkakrotnie z coraz więcej wzmocnionym naciskiem podkreślał, że naród polski jest najkulturalniejszy w całej Europie. I mógł to śmiało twierdzić bez najmniejszej przesady — Polacy jedynie nie chcieli w to niestety uwierzyć — woleli raczej składać haracz Skandynawom, Niemcom, Francuzom, — a w końcu nawet Japończykom.

I co Przybyszewskiego głównie zastanowiło, to brak poczucia godności duszy polskiej, która, jak w tęczę wpatrzona w lichy blichtr obcych kultur, nie widziała olbrzymich skarbów, które w jej skarbnicach spoczywały, a nikt nie raczył na nie uwagi zwrócić.

„Legenda“ Wyspiańskiego była legendą na rynku księgarskim, a on sam uchodził pod rok 1890(!) za nieszkodliwego grafomana. Kipling pod niebo wysławiany a nierównie głębszy Dygasiński spo-

litowany — clown cyrkowy Peter Altenberg pod niebo wywyższany a poeta tej miary, co Wacław Lieder całkiem nieznan — Harlekin Scheerbarf doczekał się w Nowaczyńskim świetnego monografisty, a któż coś wie dzisiaj o tych zdumiewająco śmiałych modernistach po 40 r., Leonardzie Sowińskim lub Ryszardzie Berwińskim?

O Polsko, papugo narodów!

To jedno, o czym polska krytyka zdaje się nie wiedzieć: gdyby Polska miała swój byt polityczny, to literatura polska współczesna byłaby tem dla obcych narodów, czem w braku godności duszy polskiej jest dla niej samej wszelka inna, byleby nie polska.

Niczem jednak były „dekadentyzmy“, „modernizmy“, „safanizmy“, jako broń przeciwko nawale tej garści młodych a niezwykle silnych talentów, którzy — niech Bóg broni, by jakąś „szkołą“ tworzyli, bo każdy z nich był „szkołą“ — walczyli w imię wspólnego ideału — w obec „nagiej“ duszy, hasła Przybyszewskiego.

Naga dusza! Jeden ryk śmiechu rozległ się w całej Polsce. Tem hasłem „Młoda Polska“ sama na sobie „harakiri“ uczyniła.

A cóż dopiero to jego „meta“-słowo, jego „Absolut“.

Przecież przez długi czas żył w Polsce równie popularny dowcip andrusów warszawskich, jak ono słynne:

„Głucho wszędzie — ciemno wszędzie,
Głupio było, głupio będzie“ —
tylko w „zmodernizowanej formie“:

„Jak cię gruchnę w „nagą duszę“, to ci się
„meta“-jucha poleje, i nie będziesz wiedział jak fik-
niesz do „Absolutu!“

Pojęcie „Młodej Polski“ tak ściśle się związało
z nazwiskiem Przybyszewskiego, jego „nagą duszą“,
„Życiem“ krakowskiem, którego redakcyę po powro-
cie do kraju prawie zgwałcony łagodnym naciskiem
ś. p. Sewera był objął, że w końcu pojęcia „Młoda
Polska“ — „Życie“ — Przybyszewski — jedną nieroz-
zerwalną całością się stały.

Wszystko to razem meta-brednie i czas wresz-
cie, żeby Przybyszewskiego wydobyć z wściekle
krępujących powijaków najniesłychańszych legend,
mistycznych opowieści, bajd potwornych.

Piszącemu ten „zarys“, nie jest łatwo pisać
o sobie samym, ale, raz już okrzyczany za prowo-
dyra tego ruchu „rewolucyjnego“ w literaturze współ-
czesnej — a nigdy nim nie był —, jest z natury rze-
czy zmuszony powiedzieć parę słów o roli, jaką ode-
grał.

INTERMEZZO CZYLI CZERWONACHUSTA.

Prybyszewski rozpoczął swoją działalność tem,
czem Słowacki ją zakończył: „Genesis z Du-
cha“: wyjściem poza ciasne szranki duszy zbiorowej

narodu i rwaniem się do poznania i objęcia duszy wszechludzkiej.

Do ujęcia duszy nie już ściśle narodowej, — bo dusza polska od czasów Mickiewicza i Słowackiego („Genezis z Ducha“, „Wykład nauki“, „Król-Duch“) objawiła rozpęd ku Absolutowi, ku uświadomieniu sobie coraz to większych obszarów w absolutnej, boskiej świadomości — nie starczyło Przybyszewskiemu to wieczne zasklepienie się jeno w narodowych ideałach z pominięciem duszy wszechludzkiej, to wieczne błędzenie w granicach, nakreślonych przez polską duszę zbiorową; więc jął robić wyłomy w tym chińskim murze, by znaleźć dla duszy polskiej ujście dla jej przemocnej tęsknoty i wkroczyć w obszary panowania wszechludzkiej Duszy.

Stąd całe nieporozumienie: Dusza zbiorowa uważała te wysiłki za deptanie, lekceważenie jej najświętszych ideałów, założyła gwałtowny protest. Tego, który całą tradycją duszy swej polskiej tkwił w jej najwięcej męczeńskim objawieniu: Słowackiego nazwała jakimś obcym kosmopolitą, nie mającym nic z duszą polską wspólnego; rodowód jego ducha wywodzono ze Skandynawii, gdzie właśnie w bolesnej tęsknocie za Polską najgłębiej sobie uświadomił odrębność duszy polskiej — ba! gdyby był miał styczność z Japonią, wywodzonoby go w tem zacietrzewieniu z duszy japońskiej.

Przybyszewski wskazywał, że dla bohaterskiej, od samego początku z bezgraniczną tęsknotą do

poznania absolutu rwącej się duszy polskiej, nie wystarczają te biedne pięć zmysłów, które starczą wprawdzie zupełnie dla ustosunkowania mego Ja do obcego Ty, mego narodu do jakiegoś innego, ale, aby objąć duszę wszechludzką i wszechświat, na to potrzeba poza pięciu zmysłami jeszcze innego, który nawiązując tradycję z wykładem Nauki Mickiewicza nazwał „nagą duszą“. Tu już się spotkał Przybyszewski z oburzonym i zaciekłym professem duszy zbiorowej.*)

Rzucono się z nienawiścią na cały jego twór — duszę twórcy, pnącą się ku Absolutowi, ściągano w przyziemne błoto, obniżano nienawistnie poziom jego duszy; w ekstatycznym pragnieniu wyrwania się z uwięzi „głupich pięciu zmysłów“ widziano tokowanie samca (Wigilije), a w seraficznych hymnach do tęsknoty za Absolutem, w zwycięskim rapsodzie duszy wszechludzkiej, wyzwalającej się z kajdan przyziemnych zmysłów, by wkroczyć w panowanie trzeciego królestwa, panowanie „Nagiej Duszy“

*) Dla krytyków, którzy duchowy rodowód Przybyszewskiego wywodzą z romantyzmu niemieckiego i jego mistyki, jako też wpływów skandynawskich, będzie prawdopodobnie ciekawą informacyjną wskazówką, że P. już w 18 roku swego życia z świętem prawie nabożeństwem przestudyował „Literaturę Słowiańską“ Mickiewicza, znał nieomal na pamięć: „Na drogach duszy“ Cieszkowskiego, wczytywał się w Libelta metafizykę i Kromera estetykę, a Trentowskiego „Daemonomania“ skierowała go już jako młodzieńca w kierunku badań nad „satanizmem“ i naukami okultystycznymi. Polskie wpływy zatem zawiniły, a kowala — niemiecki romantyzm i skandynawszczyznę — powieszono! „Ohé les psychologues! O Ty przerażająco głębi krytyków polskich!

(„Nad Morzem“) nie chciano nic więcej widzieć nad prosty poemat erotyczny, skierowany do jakiejś kobiety, którą nawet określić umiano!

Tak samo śmieszne i dziecinne usiłowania, jak również nienawiścią ziejące pragnienie, by pokorne rozhowory z duszą Wszechświata, bolesne i heroiczne zmagania się z Archaniołem, stojącym na straży wiekuistych tajemnic, rozpaczliwe wysiłki, by znowu wtargnąć do utraconego raju „Poznania“, przedstawić jako wyuzdane rozwyrzenie nagiego ciała.

Trzeba jednakowoż być sprawiedliwym.

Nieporozumienie między Przybyszewskim a jego społeczeństwem nie zostało wywołane li tylko złą wolą, niechęcią i protestem duszy zbiorowej, ale w części też nierównomiernym stosunkiem między jego siłą twórczą a prometeuszowskimi porywami jego duszy.

Środki, których używał do ucieleśnienia swych tęsknot i pragnień i wzniesień ku Absolutowi, były, mimo całego swego bogactwa, za słabe — naczynie w które wlewał żar swych porywów ku wieczności, nieraz mu pękało i niezawsze zdołał oderwać symbol, w którym myśl swą objawić pragnął, od przyziemnej niziny.

Przeważnie, zwłaszcza w jego młodzieńczych utworach, wizya rzeczy ziemskich otrzymuje tak dominującą przewagę, że przygniata, a często zawala podłoże ideowe — wizya ziemskiego piekła narzuca się z tak suggestywną siłą, że zapomina się o dro-

dze tej nagiej duszy, którąby twórca swego czytelnika poprowadzić pragnął, a artysta sam, porwany wirem opisywanych przez siebie ziemskich wydarzeń — środków do celu —, przejaskrawia je do tego stopnia, że zasłania nimi rozległy, wiekuisty horyzont, do którego jedynie zdąża.

Niezawsze umiał okiełznać rozhukaną swoją wyobraźnię, huragan burzliwej jego duszy ponosił go i miołał nim, rozrywając formy artystyczne, w któreby zawartość swej duszy ująć pragnął — (przekleństwo, które i nad Tadeuszem Micińskim ciąży,) — a gdy już w swoich dojrzałych utworach całkiem się odnalazł, gdy koryto jego myśli niepomierne się pogłębiło, gdy w najpiękniejszym i najdojrzalszym swoim poemacie: „Zmierzch“ daje dzieje duszy kobiety, wyzwalałcej się ku wieczystym wyżynom a w „Świętym Gaju“ znalazł najczystszy wyraz wyzwalań się przez miłość duszy mężczyzny, brutalną przyziemnością spętanej, do absolutnej potęgi etycznej, gdy się w „Odwiecznej Baśni“ wsłuchuje w wiekuisty głos wieczności i jej objawienia głosi, wtedy już posłuchu mu nie dano.

Sensacją były, chociaż nierozumiane, rozdzierające krzyki szarpiącej się tęsknoły ku Nieznanemu — (a krzyk nie jest najwyższym objawieniem, siły twórczej) — ale wcale już nie słuchano, ani słuchać nie chciano skupionych, kornych modłów któremi jedynie dojrzała dusza twórcy ku Wieczności się wzbija.

W każdym razie, aczkolwiek siły jego twórcze były za słabe, by móż objąć syntezę duszy polskiej w jej nowem objawieniu, był Przybyszewski żarliwym wieścicielem tych nowych objawień, odważnym i bojowniczym wykładcą nowej nauki i on, który w swoich orędziach, manifestach, protestach nazwał się Janem Chrzcicielem dla Parakleta duszy polskiej, którego od samego początku poczuwał i wiedział, że nadejść musi, rozłożył się pokornie pomostem na drugi brzeg i jest dumny, że tragedia jego duszy stała się odświętnym kobiercem, po którym święte stopy Duszy Polskiej w ono trzecie królestwo wkraczają.

„MŁODA POLSKA“ JAKO ODBŁASK
NAJKOSZTOWNIEJSZEGO SKARBU
DUSZY POLSKIEJ: „ODWAGI“. KO-
NIEC „SŁOWIAŃSKICH SIELANEK“.
ODWAGA „ODWAŻYĆ SIĘ CHCIEĆ“.

Zdaje mi się, że w całej tej skromnej próbie zarysu tej legendarnej „Młodej Polski“ udało mi się rozwiać uporczywą baśń, jakoby „Młoda Polska“ tworzyła jakąś odrębną sektę literacką na wzór tych, które się dziesiątkami co chwilę na Zachodzie ukazują i nieomylnie swe ewangelie wygłaszają.

Tworzenie szkół, osobnych jakiś sekt, cenaków w dziedzinie myśli, jest duszy polskiej bezwzględnie obce. Polak nie jest onem Nietzscheańskim „Heer-

dentier“, któreby się dało ująć w karby rygoru jakiejś szkoły: nie jest zdolen, jak Francuz lub Niemiec, do niewolniczego naśladownictwa — a gdzie na chwilę jakiejś przeważającej sile ulega, w tej samej chwili rodzi się w nim bunt, który — maluczko, a każe mu niedawno jeszcze ubóstwiane wartości na odwrót przenicować.

„Młoda Polska“, to „rząd dusz“, o jakim Mickiewicz marzył i każda z nich na całkiem inny kamerton nastrojona — a co temu rządowi było wspólne, to li tylko wspólna praca nad nawiązaniem zerwanej nici myśli polskiej, nad oczyszczaniem zamulonego koryta, którem tak wspaniale, tak rozłożyście się toczyła, aż dostała się na mielizny i lachy piaszczyste po 63 roku.

Jedną zasadniczą rzecz trzeba wreszcie zrozumieć, że ten „rząd dusz“ zwany „Młodą Polską“, to nie rozłam myśli polskiej, ale przeciwnie; utrzymanie jej ciągłości, otworzenie dla niej szerszego jeszcze koryta, to zaporą dla wpływów dla niej całkiem obcych, jakimi były materializm, pozytywizm, jaką przedewszystkiem ta straszliwa grobla dla jej bohaterów — sielsko-anielska zaściankowość.

Tak! „my Słowianie lubimy sielanki“, ale naród o tak wysokiej kulturze, o takiej niesłychanej pojemności duszy, że byliśmy i jesteśmy w stanie objąć i zrozumieć, ba! nawet przeżyć kultury całego świata — musiał się wreszcie opamiętać, że dla jego włas-

nego duchowego bytu „sielanki“ nie wystarczają — zrozumiał, iż pod tą cieniuteńką skorupą lodu, na której z tak wytworną, bezmyślną bez troską i z nieporównanym wdziękiem łyżwował, wre i kipi i prze-wala się ciemny odmęt spienionych wód, który lada chwilę tę skorupę rozerwie.

„Rząd dusz“ zaczął wybijać w tej skorupce lodu przeręble. Otworzyły się przepastne głębie, trysnęły nieprzewidziane a złowrogie źródła: na ślizgą, błyszczącą płytę powierzchni skorupy rozlały się jakieś czarne męty.

Uciekły przerażone Anielcie i Zosie i panie Połanieckie i ukazała się upiorna, straszliwa w swej prawdzie „Ewa Pobratymska“ — szlachetny „ksią-że Lizdejko“ złożył się w śmiertelnym pojedynku z Rafałem w „Popiołach“ Żeromskiego — wytwor-ny Płoszowski uciekał jak od morowej zarazy od bohaterów Berenta, Jontek z nieśmiertelnej „Halki“ z wstrętem odwrócił się od swoich braci „Z skal-nego Podhala“ i „Legendy Tatr“ Tetmajera — i smutnym krokiem wywłókł się chłop Kraszewskiego, a nawet Sienkiewicza z chałup, w których się Rey-monta „Chłopi“ rozgościli.

Ponad krzepieniem dusz w cudownych mira-żach szlacheckich eposów rozległa się nagle straszli-wa surma Skargi — łagodną pedagogię społeczeń-stwa jął znowu mącić surowy, nieustępliwy głos z grobu powstałego Andrzeja Frycza Modrzewskiego w jego „de emendanda republica“ — cudowne sie-

lanki dobrego wychowania i czystości obyczajów przerywała nielitościwa satyra Mickiewicza:

„O dusze miałkie, raczej bezduszne szkielety!
Czerpające moralność całą z etykiety;
Których żale, radości, zapaly i chłody
Stosują się do nowych kalendarzów mody..“

I rozległ się jeden krzyk:

„Ach ginie Polska! Dworu nie mama w Warszawie!

W surowych, namiętnych, zaciekłych rytmach z ziemi porodzonej, niebo druzgocącej poezji Kasprowicza, ulotnił się wszelki „polor“ — a przecież:

„Poezyi nie ma bez poloru.

A polor być nie może tam, gdzie nie ma dworu!“

Tak! istotnie! Dwór opustoszał, przestał istnieć — piękny dwór Stanisława Augusta i szlacheśny polor magnackich grodzisk, za którymi tyle hańby, sromu, sprzedajności — no! i bezwątpienia bezlicznych cnót się kryło, całkiem spełzł — coraz usilniej wydobywała się prawda z sromotnego ukrycia, aż wreszcie poetom istotnie przeszło przez myśl,

„aby napisać wierszem, że ktoś jadał śledzie!“

I właśnie to, że „rząd dusz“ „Młodej Polski“ miał tę „bezecną“ odwagę opisać to „jedzenie śledzia“, poczytano mu za największą zbrodnię.

A on miał tylko odwagę!

Odwagę pokazać człowieka, nie „ad usum delphini“ — społeczeństwa skonstruowanego z samych kategorii „moralnych“ lub też „niemoralnych“, który miał być budującym wzorem lub też odstrasającym

przykładem, pouczającym pedagogiem lub też karzącym moralistą, ale takim, jakim jest: zjadacza „śledzi“ i równocześnie karmiącego się boską ambrozją —

Odwagę wkroczenia w one ciemne zaułki duszy, w których cnota z zbrodnią w siostrzanym uścisku spoczywa, zło z dobrem się kojarzy, odwieczne instynkty z uświęconem prawem się zmagają, krwiożerczość z litością, chuć z sumieniem, drapieżność z lękkim przed karą —

Odwagę zstąpienia do onych głębi duszy ludzkiej, kędy dźwięk w kształt się przetwarza, linja w barwę, kędy specyficzna energja zmysłów w jeden pozapięciomysłowy akord się zlewa i nim zewnętrzny świat wchłania, nie jako porozrywane cząstki i cząsteczki, namacalne poszczególne zmysłami, ale jako całokształt w wszystkich jego wymiarach i w całkowitości wszystkiego co zawiera —

Odwagę uznania pozazmysłowej rzeczywistości, (dotychczas: „mrzonka“, patologiczna „aberracja“, —) jako jedyne źródła, z którego tryska wszelakie objawienie i cud-zjawia, jako istotnej rzeczywistości, ukrytej dla naszych zmysłów, a w której tkwią korzenie wszelakiego Bytu — a co poza tem idzie:

Odwagę wartościowania przejawów życiowych nie według ich przypadkowej dodatniej lub ujemnej korzyści, jaką społeczeństwu mogą przynosić, ale

według napięcia energji duszy ludzkiej, czy w Złem, czy w Dobrem — odrzucenie kanonem uświęconych walorów moralno-społecznych, co pożytkową koniecznością dla Bytu ludzkiego od wieku wieków wykreślone zostały —

jednem słowem :

Odwagę: „odważyć się chcieć“ według Barbey d'Aurevilly, otworzyć wrzeczadze podziemnych pieczar duszy zbiorowej, „wgrzebać się w jej najtajniejsze głębie“ — anemicznej, hipokrytycznej bezsile współczesnej literatury w stosunku, w jakim stoi do zjawisk życia, przeciwstawić oną bezwzględną moc, twardość i nieugiętość Tacyta lub Swetoniusza — „odważyć się chcieć“, być i w literaturze onym spowiednikiem, który „mógłby być najpotężniejszym powieściopisarzem, jakiego świat widział, gdyby mógł powtórzyć te wszystkie rzeczy, które mu się do ucha mówi“ — tę odwagę miała „Młoda Polska“.

Żadnym ślubem milczenia nie związany, odważył się istotnie „rząd dusz“ „Młodej Polski“ na tę odwagę. I wypowiedział wszystko, „o czem się nie mówi“, ani się słyszeć nie chce, „dotknął się istotnie „duszy“ „cierpiącego człowieka“, rozranił ją, wgrzebał się w nią do samego dna, nie na to, by ból jej sprawić, ale, aby się ocknęła z narkotycznego błogiego snu i sama zrozumiała, że jest „cierpiącą“ i „wszelakiej naprawy“ potrzeba zachodzi. Czemże jest innem „Wesele“ Wyspiańskiego i cały twór jego?!

Czemże innym jest „Grzech” Żeromskiego lub „Próchno” Berenta?!

I tu zachodzi różnica pomiędzy starą a tak zwaną „Młodą Polską”. Ta ostatnia nie zna ani pochwał, ani ubóstwiał, ni też potępiającej wzgardy lub kategorycznego potępienia czynów swoich bohaterów.

Pomna najwyższej zasady sztuki, że tam, gdzie twór jego wyobraźni przemawia, twórca sam usta ma zamknąć i nie wtrącać swego widzimisie w to, co jego bohater myśli, lub czyni — „Młoda Polska” zastąpiła moralno-społeczne, głośno przez twórcę wypowiedane tendencje i kategorie głębokim zrozumieniem, uczuciowem podłożem współczucia i liłości w tworze takiego Żeromskiego, świętego Szymona z Kyreny, który dźwignął krzyż Zbawiciela na swe barki, czy to w „Bezdomnych”, „Grzechu” lub „Urodzie Życia” — albo też tego istotnego Syna Ziemi, Jedną Kasprowicza, który dotarł do praitów Bytu w Bólu i Cierpieniu i przemożnym głosem woła:

„Bądź pozdrowiona, o Ty bez promienia,
Który nadzieją martwe serca pieści,
Spowita płaszczem bezdenne cienia,
Zródło mej pieśni, macierzy natchnienia — Boleści!

OSTATECZNE NAWIĄZANIE POTARGANYCH NICI.

„MŁODA POLSKA“ ODNALAZŁA DROGĘ DO „ULTIMA THULE“ DUSZY POLSKIEJ: ROMANTYZMU. JAN KASPROWICZ: „TEN, KTÓRY JAK NAJWIĘCEJ PRZESZŁOŚCI MA PRZYTOMNEJ W DUCHU I JAKNAJWIĘCEJ PRZYSZŁOŚCI, STWORZONEJ DUCHEM I JUŻ WSOBIEŻREALIZOWANEJ“.

Młoda Polska! — To nazwa, mnemofechniczna kategoria dla kształtującej się młodzieży — raz jeszcze to powtarzam — zupełnie taka sama kategoria jak „Romantyzm“ — kategoria stworzona dla tych, którzy nie są w stanie śledzić ciągłości Myśli Polskiej. Ale, jeżeli już raz te rozbiorcze kategorie przyjęte zostały, to tem samym prawem, z jakim Mickiewicz został uznany za Wodza „Romantyzmu“, tem samym prawem syntetycznym wyrazem tego — no! jakby to nazwać? — chyba „Neo-Romantyzmem“, alias „Młodą Polską“ — jest bezwątpienia Jan Kasprowicz...

Na progu dwóch stuleci ostatnich stanął mąż o zdumiewająco śpiżowej jednolitości, Twórca, w którego duszy w nowej potędze objawiła się dusza polska, a zakon jej, wieszczony przez Mickiewicza i Słowackiego, ostatecznie miał się dokonać.

W Kasprowiczu przedarła się dusza polska poprzez granice, wykreślone jej przez duszę zbiorową, w nieskończoność rozszerzyła horyzonty ducha narodowego, w nim ujawniła się w oślepiającym blasku swej tęsknoty ku duszy wszechświata, w nim strącała zapory, jakie jej tradycja historyczna stawiała, potrzeby bieżącej chwili, obrachunki społeczne i sprawy przyziemnego Bytu, w nim wyzwoliła się z wszelkich pęt i ucisków nocy i rwie się na łono srebrzystego Świtu, by ze słońcem, swym ojcem, znowu Jedność stworzyć, ogarnąć wszechświat swoim ciepłem złotem — aż tam ku onym wyżom, kędy giną granice zmysłów, a duch ludzki nad przepaściami zawisa nieruchomy, „wpatrzony w świtów ciągły ruch, w słonecznych nieb' ogromy“, „gdzie śmierć cierpliwie drzemie, hymny niebieskie ogarniają ziemię, że trwaniom nie ma końca“ — i:

„— niby świeflany, wiewny puch,
wzniósłszy się do tych szczytów
we śnie ekstazy, ludzki duch
stapia się z bytem bytów“.

Z rydwanu myśli historycznej, z upręży życia zbiorowego li tylko w narodzie, zerwała się w Kasprowiczu dusza Polski, by rzucić się w kosmiczne odmęty, wszechświaty ogarniać, ludzkość całą w siebie wchłonać.

Dusza polska, która dotychczas w romantyzmie przez krańcowe swe uspołecznienie, bohaterskie, ale je-

дноstronne wysiłki i rozlanie się w ekstatycznej miłości narodu z pamięcią zbyt jeszcze świeżego męczeństwa, rozpierała dusze Tyrteuszów, z nieukojoną tęsknotą czarnymi skrzydły rozpaczego bólu, bluźnierczego buntu, obiegała martwe ciało ojczyzny — znowu się wzmogła, do nowego lotu rozpostarła swe skrzydła, ale tym razem od jednego bieguna wszechświata do drugiego: tęsknota jej wyolbrzymiała do ogromu prometeuszowskiej potęgi, która ogniem swym rozrywa mroki „bytu bytów“ i staje się tajemniczem Saïs, w którym Świat, Bóg, Natura rozwiązują swoje własne zagadki i swych losów tajnie, a uświadamia się przyczyna, rozum i treść wszechbytu.

Już w romantyzmie widzimy załączki tej syntezy duszy polskiej, widzimy ją w „Improwizacji“ Mickiewicza i w „Genezis z Ducha“ Słowackiego, ale w całej pełni i mocy dokonała się w Kasprowiczu.

Synteza duszy polskiej!

To nie ta germańska, której upostaciowaniem zimny, oschły prawie, rozumem tylko ogarniający, obiektywny duch Goethego, który docierał do istotnego jądra rzeczy, ale nie zdołał ich, mocą swej twórczej intuicji i wizyjnej potęgi podświadomemu Bytowi wydartych, w sobie przeżyć, bo tchórzyl przed męczarniami, jakie Prometeusz przeżywać musi. Dokonywała się ta synteza w duszy Shelleya, ale wielki cud, który się jego oczom objawił, olśnił go swoim przepychem, a może przeraził swoją grozą, ale nie

wstrząsnął całym jego Bytem. Synteza, dokonująca się w duszy Kasprowicza, targła nią, że „z piorunami w zawody rozpaczą grzmiał“, że „skrzydłami trzepotał jak ptak ten nocny, jak ptak ten ranny, któremu okiem kazano skrwawionem patrzeć w blask słońca“, tak, że Bogu bluźnił, iż ten straszny ciężar „Poznania“ na jego barki nałożył, to znowu się kajał przed potęgą bólu i Cierpienia, które najgłębsze tajni Bytu swemi upiornymi błyskawicami mu rozwidniało:

„Jedno jest tylko Jednem, grzmiącym miedzianą surmą archanioła ponad pokoleń pokoleniem biednym w Pańskiego gniewu nieskończony dzień:

wielki, wszechmocny Ból!“

Pokazywano sobie kiedyś w Florencji Danta z zabobonnym lękiem: Onci był w piekle! A Kasprowicz przeżył całe potworne piekło istnienia, przeżył ból i cierpienie całej ludzkości, zawisał nad otchłannymi przepaściami, dusza jego bezustannie „schodziła w ciemności“, do szpiku kości przeszywał go przeraźliwy „dreszcz błądy“, gdy się rzucał na „życia ogromne morze“, gdy rozpaczą bluzgał:

„Nędza jest wszędzie!
W miłości jest nędza
I nędza w cierpieniu!“

a równocześnie błogosławił swej własnej duszy:

„Błogosławiony, kto pochwyił wiosła (na życia ogromnym morzu) i jak bohater puścił się w swej

łodzi na wicher! Błogosławiony, kto ze swej ludzkiej duszy umie wykrzesać pokrewieństwo burzy...”

W romantyzmie przeżyła dusza polska całą swoją męczeńską tradycję — w Kasprowiczu przeżyła w sobie całą duszę ludzką takim bólem, tęsknotą, ogromem cierpienia, że zdolnym było „rozsadzić piersi Lucyfera lub Prometea!”

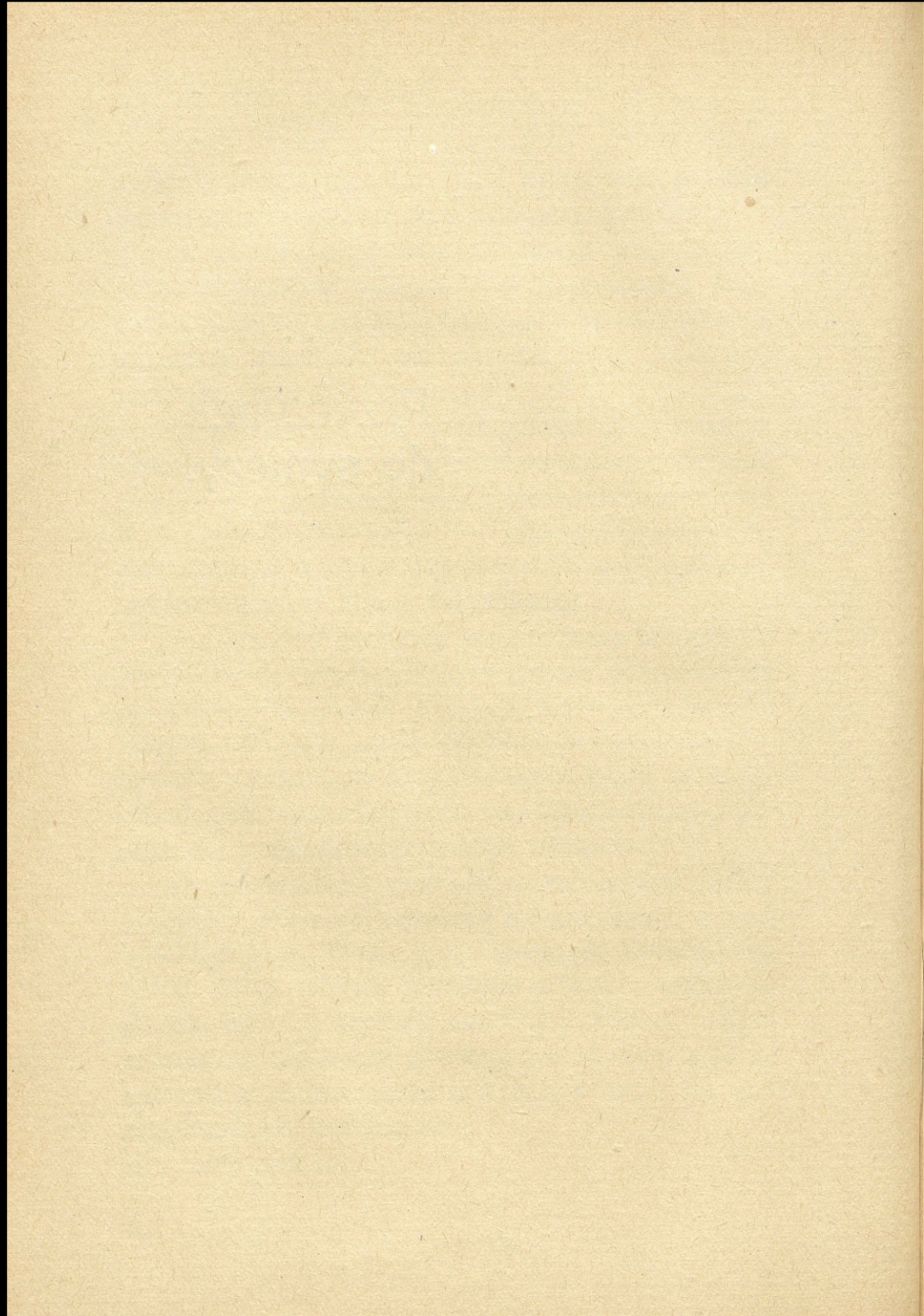
Z mocarnego tuku kości bohaterskich naszych praocjów, z życiodajnej plazmy krwi ich, w męczeńskiej ofierze przelanej, brała dusza polska w romantyzmie przebogaty karm — ofiarą, męczeństwem, całą Gehenną cierpień wszechbytu przebogata, zsenfetyzowała się w duszy Kasprowicza.

I o tyle jest bogatszą synteza duszy polskiej od każdej innej: nie dokonała się mocą filozoficznych dociekań, intuicyjnych bystrych koncepcyj, bogatej umysłowości, ale mocą współczucia, współprzeżywania i współcierpienia ze światem całym — mocą olbrzymiej, żadnemu innemu narodowi nieznannej pojemności i intensywności potęgi UCZUCIA.

A odblaskiem wspaniałym tej syntezy duszy polskiej, to nasza syntetyczna kultura, jakiej równej w całej Europie niema, bo zespala ją kulturę umysłową, którą zdołała wchłonąć w siebie zdobycze obcych kultur, a przetworzyła je na całkiem coś odrębnego mocą równie wysokiej i w równym stopniu rozwiniętej kultury serca w Jedno, a Jedni tej najszlachetniejszym wyrazem:

Jan Kasprowicz!

Przyczynek
do syntezy.



LEGENDA O PRIAPIZMIE PĘCIOWYM MŁODEJ POLSKI.

Pisze profesor Aleksander Brückner w swojej „Historji literatury Polskiej“, że niepodobna odmówić zasług „Młodej Polsce“: „pomnijmy jej pierwszorzędne siły, już teraz w dziejach literatury zapisane; fakty świadczą, że przełamała ona obojętność publiczności, zrehabilitowała poezję, podniosła smak czytających, wstrząsnęła nim, że poruszyła nowe kwestje, próbowała nowych form, odświeżyła język...“

„Jeśliby nic innego nie działali (sc. przedstawiciele „Młodej Polski“) już im się wdzięczność należy i uznanie... nigdy nie zapomnimy, że oni odwojowali dziedzinę poezji, że odwiązali ją od pręgierza tendencji, od kataklizmu życiowego dla vulgus profanum, że oddali ją Sztuce“.

Te bez wątpienia zaszczytne, ale zbyt ogólnikowe pochwały szanownego profesora, do którego zresztą „Młoda Polska“ za jego uczciwą i przychylną rzeczowość zawsze z największem uznaniem się odnosiła, nie wyczerpują jednakowoż tego wszystkiego, co duch, „wieczny rewolucjonista“ w krótkim czasie zdziałać zdołał.

Pominał profesor Brückner jedną z największych zasług „Młodej Polski“, (a raczej jej kozła ofiarnego Przybyszewskiego), tę mianowicie, że od sromotnego pręgiarza „pornografji“, „nieczystości“, „deprawacji“ odwiązała PŁEĆ i odważyła się ją w Sztuce ukazać w całej jej mocy i potędze, przenikającej wszech-życie, treści Bytu ludzkiego i sprawdzianu Boskiego początku Człowieka.

Nigdy przedtem obłuda i hipokryzja, najordynarniejsze świętoszkostwo, nie święciło w Polsce takich wyuzdanych orgij, jak w onym czasie, gdy szereg „młodych“ pisarzy jął zdierać obłudną maskę z rachitycznego pojęcia jakiejś bezkrwistej miłości, która jakoby specjalnie w Polsce nie miała nic a nic z zmysłami do czynienia — nigdy przedtem nie rozpanoszył się w Polsce potworny „cant“ angielskiego narodu, który, jak wiadomo, jest i był najrozpuśtniejszym i najwięcej wyuzdanym w całej Europie, jak właśnie wtedy, gdy „Młoda Polska“ pragnęła przywrócić pojęciu Płci jej przepotężne, kosmiczne znaczenie.

Twórca, który w świętem przeświadczeniu płci-miłości, jako metafizycznej potęgi, która nad światem i życiem włada i od śmierci jest silniejszą, został okrzyczany jako jakiś potworny, „priapista“, duch „nieczysty“, „zakąła“ piśmiennictwa polskiego. Zawstydzającym faktem pozostanie to w historii literatury polskiej, że i w Krakowie i w Rosji tępono

organ „Młodej“ Polski: „Życie“ — wrzekomo dla jego „nieczystych“, „niemoralnych“ prądów, a równocześnie opiekowano się z gorącą życzliwością najwyuzdańszymi pismami, niby to humorystycznymi, jakimi Europa poszczycić się może („Bocian“ krakowski, „Humorysta“ lwowski.)

Oczywiście, że rządowi rosyjskiemu nie było na rękę ujęcie Płci jako czegoś niezmiernie czystego, nieomal tragicznego w swej bolesnej tęsknocie za pierwotnym Androgynizmem, czegoś wstrząsającego w swej bytowlądczej potędze, bo tego rodzaju ujęcie płci podnosiło niepomiernie poziom etyki płciowej, obezwładniało bezwstydną i cyniczną rozpustę, stępiało siłę jadu nierządu płciowego, którego dobrofliwym opiekunem zwłaszcza w Polsce był sam rząd rosyjski; — ale dla czego niszczone zajadłe „Życie“ w tej Polsce, która nie była od rządu rosyjskiego zależna, to pozostanie tajemnicą psychiki tej „starej“, starczej Polski, tak cudownie usymbolizowanej w biblijnej powieści o Zuzannie w kąpieli.

Dwadzieścia lat mija od tego czasu, kiedy to książkę Puzyna w Krakowie niszczył z pomocą policji krakowskiej systematycznie numery „Życia“; — dużo się od tego czasu zmieniło — radykalniejszy od Przybyszewskiego „erotyzm“ Żeromskiego nikogo już nie razi, (prócz chyba nieśmiertelnego Jeske-Choińskiego, który „Dzieje Grzechu“ pornografją zowie) ale dla przyszej „Młodej“ Polski, — oby jak

najrychlej nadeszła — będzie poniżej podany dokument o etyce płci, o znaczeniu Płci w ogóle, jak ją obecna „Młoda Polska“ pojmowała, nie bez znaczenia — a bez wątpienia pomocniczym środkiem dla przyszłego krytyka, by mógł się zorientować, czem był właściwie ów „rozwydrzony“, rozjuszony“, wyuzdany“, niepohamowany“ priapizm płciowy „Młodej Polski“ z roku 1890 do 1910..

PRÓBA UJĘCIA PŁCI, JAKO NAJWAŻNIEJSZEGO CZYNNIKA W DUCHOWEM ŻYCIU CZŁOWIEKA.

Na początku była Płeć...“ — Temi słowy rozpocząłem moją pierwszą książkę, — nie licząc dwóch poprzedzających tomików: „Zur Psychologie des Individuums“ — pisaną jeszcze w języku niemieckim 25 lat temu i „Totenmesse“ (w polskiem tłumaczeniu: „Requiem aeternam“) — i to samo powtarzam z większym jeszcze naciskiem dziś, kiedy płciowe zagadnienia w Szfuce więcej niż kiedykolwiek głębokiego zrozumienia potrzebują.

I w istocie jest płeć onem platonicznem amorfos hyle onej bezkształtnej materji, która z Logosu emanacji najwyższego Bytu powstała, i z której świat cały się uformował.

Czem byłby człowiek, gdyby jego myśli, jego uczuć nie syciła gorąca moc Płci, gdyby eros i nejkos

— Miłość i Nienawiść, nierozzerwalne „pile et face“ jednej i tej samej potęgi, nie łączyła w Jednią nieznanych, rozbieżnych sił, znowu ich nie rozrywała i w nowe Jednie łączyła i z tajemnych, ciemnych prabytowych ilów na światło dzienne nie wylaniała?

Z krtani ludzkiej wyrwała Płeć pierwsze przeciągłe dźwięki, rozgraniczyła i rozróżniczkowała według taktu bijącego serca, formułowała je w rytm i melodję, tworzyła z nich rzenie, wycie, skowyt bólu, warczenie nienawiści, słodki poszept miłości, w niebo bijące okrzyki radości, zachwytu, orgiazmu i ekstazy:

Płeć porodziła słowo!

I płeć przemożną siłą rozparła mięśnie człowieka. Dała mu maczugę do ręki, gdy o to chodziło, by swego rywala w walce o samicę zniszczyć, potęgowała jego siły w nieskończoność, gdy trzeba było samicy i swemu potomstwu życie zabezpieczyć; Płeć kazała człowiekowi dziewicze lasy na żyżne pola i pastwiska przemieniać, łono ziemi rozszarpywać i biegi rzek w nowe koryta wflaczać, morza ujarzmiąć i żywioły okiełznać; Płeć zbudziła mózg z wiekowego snu, zmusiła go w straszliwej męczarni niesłychanych wyteżeń do pracy, zrobiła go chytrym i przebiegłym, że zdołał bogom ogień wykraść i tak niebosięźnie hardym i mocarnym, że Pelion na Osse nasadził i bramy niebios jął szturmować:

Płeć porodziła Czyn.

I gorącym strumieniem rozlała się Płeć w sercu

ludzkiem, wypełniła je całe, wzbudziła w niem pragnienie, by każdy w około dzielił się szczęściem, jakie jego piersi rozpierało, rozrosła się w niem przemożną wolę, by całemu światu do tańca zagrać, aby każdy, w radosnem poczuciu rozkoszy życia, moc jego sobie uświadomił i wraz z nim uroczysty a święty hymn życia zanucił, do biesiadnego stołu wszystkich zaprosił — i tak stworzyła Płeć litość i współczucie i współbytowanie, Ojca—Matkę, Brata —Siostrę złączyła w jeden ród ludzki, związała go węzłami krwi i przyjaźni, ale równocześnie stała się źródłem zemsty i nienawiści, drapieżnej chuci, gwałtu i zbrodni, łącząc rozrywała i rozpraszała na wszystkie strony świata pokolenie Abla, Setha i Kaina...

Aleć Płeć wytworzyła familję, rody i ludy.

A potem rozwarła szeroko swe oczy, obejrzała się wstecz poza siebie z nieskończoną tęsknotą i przypomniała sobie swój boski pra-początek

Miljony, miljony lat trwała w przerażonem, drżącym wpafrzeniu się w święty ogień, którego żarem i blaskiem cały twór był: bytował:

Płeć zapra gnęła boskości.

I rozparła szeroko pierś ludzką korną i zbożną tęsknotą, syciła serce jego słodkim jadem obezwładniających wzruszeń, wykradała pra-ogniui jedną iskierkę po drugiej, aż wznieciła w duszy człowieka

święte ognisko, w którym jał się stąpiać, i o własnym samoistnem Ja zapominać:

W miłości!

I stał się niepojęty cud:

Duch święty zstąpił na Płeć, natchnął ją swoim boskim oddechem — amorphos Hyle połączyła się z Logosem i tak stworzyła Płeć — Miłość!

I rozwarły się wrzeczadze, wrota duszy ludzkiej na oścież się otworzyły ku gwiazdom, niebu i słońcom — z niewidzialnych źródeł trysnęły nagle strumienie łaski i niepojętego cudu — tysiące nieznanych uczuć, pojęć, rozeznań rozparły duszę ludzką do objętości globu boskiego Bytu, ku nigdy nieprzeczuwalnym światom jęły się ramiona wyprężyć, przed przeraźliwie tajemniczymi mocami nogi się uginać i w śmiertelnej trwodze tarzał się człowiek w prochu przed otchłanią zagadek i tajemnic, które teraz mocą uświadamionej, w krwawą zorzę poznania przyobleczonej płci, przeczuwać począł. Co w głębokim ukryciu spoczywało, wyłoniło się na jaw jako pewność, a na odwrót pewność zjawy zasnuwała się mgłą zmroku czegoś Nieznanego a tak Bliskiego.

Pomna swego boskiego Początku, zagnieździła się Płeć w sercu ludzkim radosną nowiną:

Ona pierwsza poczęła mówić do człowieka o Bogu!

Miłością i poczuciem swej boskości rozrosła się Płeć w Bycie ludzkim do niesłychanej potęgi.

W najtajniejsze szczeliny, najciemniejsze zaułki duszy, jej najskrytsze fałdki rozlał się gorący strumień Płci, rozjaśnił czelustne głębie przepaści, rozpałił skały, że w buchującym ogniu stanęły, roztrząskiwał światy na części, by im w nowych kształtach kazał odżyć — w szerokie koryto płci-strumienia zlały się wszystkie instynkty, przecucia, rozkosz wszelaka i wszelki ból, nienawiść i wniebowstąpienie człowieka, zakotłowały w nim wszystkie wiry i odmęty bezbrzeżnej duszy ludzkiej — a gdy już całe wód bogactwo w siebie schłonał, wyrzucił je — strumień-płec — u stóp Boga, aby się tym niesłychanym przepychem uradował.

I tak stała się Płec powiernicą Boga i przyniosła mu radosną nowinę, jako że ród ludzki coraz więcej ku niemu się zbliża — przez Sztukę.

Piec porodziła Sztukę!

I takóž jest Płec androgyniczna Ojcem—Matką tego, co jest, co było i poprzez Być cały trwać będzie: przepotężnem źródłem wszelkiej mocy, wiecznej potęgi, wszystkich natchnień i boskich upojeń, najświętszych zakusów, by wtargnąć w niebios podwoje i sromotnych zwalań się w czelustne piekło Grzechu, najwyższej Cnoty i najohydniejszych zbrodni.

I niema mocy, któraby się z nią porównać dała i jako taka jest ona najwyższą pięknoscią — jedyną drogą, która do Absolutu prowadzi, bo z niego wyszła i ku niemu podąža: Płec-słowo, Płec-Czyn, Płec-Miłość,

Płeć-Naród, Płeć-Religja, Płeć-Sztuka i w tym wielorakim agregacie, w jakim się Płeć przejawia, streszcza się cały Byt ludzki — gorący golf, który pustynie lodu topi, na żywną ziemię je przemienia i czyni z nich raj lub piekło dla rodu ludzkiego — mityczny ocean, który wszechbył oblewa i go uściskiem swych gorących ramion obejmuje — jedyna rękojmia i jedyna pewność boskiego początku w człowieku.

Mitologia! powiecie — a może i nie!

Jeżeli można rozanalizować każde jakiegokolwiek uczucie w jego pierwiastki, najdrobniejsze atomy i molekuly, znalazłoby się na tysiąc pierwiastków co najmniej dziewięć dziesiątych, które płeć w ruch wprowadza.

Ukryta, nieuchwytna dla oka powszedniością życia ofumanionej duszy, ukryta w morzu za ledwie prześwietlających przeczuć, jako najgłębsza, odwieczna fala Podświadomego, wre Płeć i kipi tam gdzieś na samym dnie Życia, raz po raz tylko wyrzuca na wierzch gorącą pianę, tryśnie wracem źródłem, raz po raz i tylko dla jednego na tysiąc a dwom na dziesięć tysięcy objawi się jako epignosis tu arretu megethus, o której wielki Basilides, twórca Gnosis, kazał.

Potęga Płci jasna, wyraźna i łatwo uchwytna w niektórych uczuciach — zamglona, za ledwie dostrzegalna dla biednego, ograniczonego mózgu ludz-

kiego w dziewięć dziesiątych nieskończenie skomplikowanych objawach życia człowieka, częstokroć całkiem nieuchwytna, jakoby nieistniejąca w kompleksach uczuciowych, które wskutek wiecznego powtarzania się, odruchami się stały — ta potęga Płci objawia się jednakowoż w równej mocy niezależnie od tego, czy ją sobie uświadamiam lub nie, w miłości czy nienawiści, w solidarności i poczuciu przynależności do Trzody czy też w pragnieniu wyodrębnienia się i zaznaczenia mego Ja, w panowaniu, w heroizmie czy też w tchórzostwie, w macierzyństwie czy też w wyszlachetnionym egoizmie, nierozłącznie związanym z instynktem społecznym: równie wielką i piękną jest jej moc w każdej akcji płciowej „wiedzącego“, to znaczy tego, który jest świadom mocy i piękności płci, jak w najwyższych jej objawach: w rytmice, harmonii, melodji, jednym słowem: w muzyce!

Jednemu nabrzmiewa mięśnie do niepojętych wysiłków fizycznej pracy, drugiemu rozszerza duszę aż do granic transcendentálnych — myśl ludzką potęguje do boskiej mocy pierwszego „Stać się!“ z clowna robi twórcę, tchórz pod jej wpływem staje się bohaterem, ograniczony, ciasny, sobczy piwowar ni stąd ni zowąd przekształca się na filantropa, a głupia gęś dostojnieje w tęsknocie męczeństwa.

Płeć przejawia się w miliardach coraz to zmieniających form i kształtów, lśni i mieni się w wszyst-

kich barwach tęczy, zowie się tysiącami nazwisk, kryje się w nieprzeliczonych tysiącach uczuć, które słowami wyrazić się nie dadzą — ale wszędzie jest jej moc wszechobecna, niepodzielna siła, równa hipotetycznemu eterowi, który wszechświat przenika — a widowym symbolem jej twórczej potęgi i jej wszechmocnej działalności, widowym nawet dla tych, którzy są zbyt ślepi, by jej moc w każdej myśli, w każdym uczuciu, w każdym odruchu ludzkiej duszy móc dostrzec — to jest popęd płciowy.

Ta sama potęga i piękność, która światy tworzy i je niszczy, by w większej jeszcze doskonałości mogły się odrodzić, objawiała się w równej mocy i piękności w człowieku jako źródło jego najwyższej rozkoszy i upojenia, jak w jego najwyższym napięciu sił „duchowych“ — tych sił, które przemożną potęgę natury ujarzmiły, rozhukane wód górskich piekło w karby ujęły, nad powietrzem i morzami zapanały, a w organicznej projekcji cylindra i tłoku stworzyły „maszynę“ i pracę ludzką do niesłychanej potęgi wydajności podniosły.

Takąż jest moc i piękność onego Cudu, który w najwyższej, zbożnej czci i pokornej świętości w Płci dostrzec się każe — oczywiście temu, któremu ta wszechwładna moc w całej jej olśniewającej boskiej potędze się objawiła.

I gdziekolwiek bądź i w jakibądź sposób popęd płciowy się objawia, czy w kopulacji chemicznych

atomów, w wiecznym łączeniu się i rozłączaniu pierwiastków, by się wciąż w nowych i nieprzeczuwalnych kształtach objawiać, czy też w cielesnym połączeniu się dwojga żyjących istot w nierozzerwalnej Jedni, by wykonać zakon przez Boga ustanowiony, czy też w odwiecznej, Boga szukającej tęsknocie — religii i sztuce — wszędzie i zawsze jest popęd płciowy emanacją istotnej piękności, w której człowiek uświadamia sobie swój boski i metafizyczny początek.

SŁOW KILKA O POLSKIEJ „UPRAWIE”.
DROGA KRZYŻA — DROGA DUSZY POLSKIEJ.

Możec to wszystko jest istotnie tylko mitologią — może i moje całe ideowe założenie w pojęciu „Płci“ jest fałszywem — niech niem pozostanie tak długo, dopóki mi ktoś tego fałszu nie udowodni — w każdym razie mam odrobinę nadziei, że po tym długim wywodzie wszyscy ci, którzy pragną zaznajomić się z tworem „Młodej Polski“, przystąpią do niego z całkiem innym przygotowaniem i zrozumieniem, niż ci, którzy nad jej „priapizmem“ szaty rozdzielali i cenzurę policyjną na pomoc wołali — ba! nietylko policję, ale nawet wśród radnych miejskich Lwowa, właściciela szulerni w Lwowie samym i domu publicznego w Kołomyji, którego „Veto“ starczyło, by Teatr Lwowski usunął z swego repertuaru dramat

Przybyszewskiego „Złote runo“, jako sztukę demoralizującą i deprawującą młodzież.

„Utworów, któreby miały na oku cel jedynie artystyczny, dla niego samego podjęty — któreby miały za dążność swoją podchwytywania fenomenów ducha ludzkiego, malarstwo cnót i grzechów, namiętności i szaleństw, okrucieństw, walk wewnętrznych, upadków i obłądów — woła Stefan Żeromski zrozpaczony — u nas prawie niema“.

Jaki szczęśliwy ten Stefan Żeromski, że nic z tego nie czytał, co „Młoda Polska“ w krawym znoju, w zaciekłych prześladowaniach, błotem obrzucana, w gnójówce najohydniejszych potwarzy i kłamstw tarzana, stworzyła. Co za szczęśliwy traf losu oszczędził Żeromskiemu przypatrywania się znojnym walkom tych, którzy się ośmielali badać „pierwiastki“, z których zbrodnia powstaje i najbardziej skrytych, zawilych, perwersyjnych fenomenów zmysłowej miłości, tajemniczej potęgi muzyki i t. d.“

Z zdumienia wyjść nie można, gdy się czyta wy-nurzenia Żeromskiego w ustępie „Snu o szpadzie i snu o chlebie“, zatytułowanym: „Literatura a życie polskie“ o niemocy i niskim stanie literatury polskiej obecnej w porównaniu z rzekomo o całe niebo wyżej stojącą literaturą zachodu i wierzyć się nie chce, by autor polski tej miary, co Żeromski, nie miał najelementarniejszego pojęcia o tem wszystkim, co „Młoda Polska“ w przeciągu krótkiego czasu

stworzyć zdołała. Wprawdzie przyznaje Żeromski, że rewolucja, wywołana „Wędrowcem“ Witkiewicza, „Życiem“ Przybyszewskiego, „Chimerą“ Przesmyckiego, jakkolwiek nieudała według mniemania Żeromskiego, jak wszystkie rewolucje polskie, to w każdym razie wywarła wpływ jak najzbawienniejszy na twórczość i krytykę rodzimą, rozszerzała widnokreśli przysporzyła sztuce nowych wartości przez ich „europejską uprawę“. Ale czem jest ten wspaniały rozkwit myśli polskiej — i to w zdumiewająco krótkim czasie — utworami o tak niezmiernej artystycznej wartości jak Hymny Kasprowicza, Legenda Tatr Tetmajera, cały twór krytyczny Stanisława Brzozowskiego, „Chłopi“ Reymonta, „Próchno“ Berenta, „Grzech“ samego Żeromskiego, czem twór Micińskiego, Szandlerowskiego, Daniłowskiego lub Struga wobec takich olbrzymów jak G. K. Chesterton, o którym Polak ma takie samo prawo nic nie wiedzieć, jak on Włoch o Polakach w swej słynnej antologii medjolańskiej — czem nadzwyczajny norweski Johann Boyer — zaliczany i to słusznie, w smej ojczyźnie do drugorzędnych pisarzy, zwykły epigon Dostojewskiego, tak często napotykanym w Skandynawji — czem wpół Francuz — wpół Irlandczyk Jammes — całemi garściami czerpiący z drugiej ręki — a czem dopiero taki Pascoli! A już ta „uprawa europejska“ to już albo objaw najpokorniejszej mikromanji u Żeromskiego, albo też fatalne nieporozumienie: To całkiem nie europejska, ale na

wskroś polska uprawa, z najgłębszych źródeł Polski wydobyta i każdemu innemu narodowi całkiem nieznaną „uprawą“!

W ogóle wszelkie porównywanie kultur między sobą, wartościowanie ich według urojonej niższości czy też wyższości, jest niedorzecznością i absurdem.

O jedną kulturę mniej lub więcej faką, lub owaką — całkiem wszechduszy nie chodzi, mogłaby się spokojnie bez kilku kultur obyć. Co atoli rozstrzyga o konieczności istnienia tej kultury, to jest odrębność — o wartości jej ta tylko okoliczność, że bez tych odrębnych i oryginalnych czynników, jakie ta lub owa kultura do kultury wszech europejskiej wnosi, ta ostatnia świeciłaby łachami i ławami mielizn.

A śmiem twierdzić, że dopływ kultury polskiej do ogólnie-europejskiej rozszerzył niepomiarne jej łożysko i wzmocnił prąd jej rozwoju.

Na to powagi i dostojności pełne ujęcie płci, na jakie się „Młoda Polska“ zdobyła, nie stać żaden inny naród. Ten właśnie fakt podkreślam, bo widzę w nim bogaty posiew dla dalszego rozwoju literatury polskiej. Niekoniecznie potrzebne to ujęcie, by rozgmatywywać pierwiastki „zawitych i perwersyjnych fenomenów zmysłowej miłości“, jak tego chce Żeromski, ale konieczne, aby ukazać Płeć-Miłość w całej jej czystości i nagiej prawdzie — konieczne, aby Miłość wyzwoliła się z wstrętnego „cantu“ angielskiego i ukazała się w swem całym pięknie i mocy

zmysłów — konieczne, by zożydzone i ześwinione „Zmysły“ i „Popędy“ płciowe uznane zostały wreszcie jako najpotężniejsze czynniki życia duchowego i dźwignię całego wszechbytu.

„Stara“ Polska wyrzuciła płęć i zmysły poza nawias swej Sztuki, zatrutowała się z rozkoszą niechlujnym płciowym cynizmem francuskim, czy to włoskim, babrała się z lubością w naskórkowych lubieżach lapanarów paryskich, a na chwilę nie odważyła się spojrzeć w on tajemniczy głęb, w którym tkwi czyste źródło płci-miłości polskiej. Nie odważyła się, bo w pojęciu tej miłości tkwi ból i ciężki fragizm głębi, a jeżeli Polak czegośkolwiek się lęka, to Bólu i Cierpienia — i nigdy nie wyniesie się na wyższy szczebel rozwoju, dopóki nie zrozumie, że wszelka siła rodzi się z bólu.

Cała nienawiść starej Polski, czy przed laty stu czy dziś, czy znowu po upływie wieku, streszcza się w jednym strasznym lęku przed Bólem i Cierpieniem, jedynem źródłem Siły i mocy i wszelakiego rozwoju — a dopóty nie osiągnie dusza polska najwyższego szczebla doskonałości, dopóki nie wytrwa na jedynie jej właściwej drodze: „drodze krzyża“, i na tę drogę „Młoda Polska“ — i to cała jej zbrodnia — myśl polską skierować usiłowała. Już ją kilkakrotnie opisywałem; może niedołąźnie, bo są rzeczy, które w słowa ująć trudno — musiałbym teraz powtórzyć, com swego czasu pisał w pierwszej części tej książki,

nierozerwalnie z nią złączonej: „Na drogach Duszy“ — i do niej teraz mego czytelnika odsyłam.

I na tej „drodze krzyża“, na drodze Mickiewiczowskiej „nagiej duszy“, dokonał się czyn „Młodej Polski“: nawrót do WIARY.

NAWRÓT DO WIARY – NAJWYŻSZY CZYN, JAKI SIĘ W MŁODEJ POLSCE DOKONAŁ.

Dla generacji po 40 roku starczyło jak najzupełniej świadectwo pięciu zmysłów; odrzuca ona uporczywie i złowrogo wszystko, co nie było dotykalne i domacalne. Wierzyła w dobro jako pożytek — w zło jako wszystko to, co na niekorzyść mu wychodziło, co było wogóle dla doczesnego bytu szkodliwe m.

To znaczy: cała ta generacja była bezwierna. Bo „wierzyć“ znaczy nie ufać świadectwu zmysłów, a ponieważ je całkiem odrzucać — „wierzyć“ znaczy przyjmować jako pewność to, co ani dotykalne, ani widzialne, ani też żadnym uchem ludzkim dotychczas posłyszane nie było — co atoli w duszy ludzkiej żyje jako głuche, niejasne przecucie, dalekie wspomnienie pozabytowych przeżyć, co przejawia się w mglistych, poplątanych snach, chaotycznych wizjach, w niespokojnej, trawiącej tęsknocie, by przedrzeć się poza kolczaste opłotki dziennej zjawy i wkroczyć w tajnie ciemnych zmroków i głuszy nocy,

w szarpiącym pragnieniu, by bezkresnemu państwu absolutnej świadomości, której zaledwie małą częścią żyjemy, chociaż maleńką piędź dla swej świadomości wyżebrać, czy też w krwawych zapasach wywojować.

Życie starej generacji obradowało się w błędnym kole dogmatów raz już ustalonych, raz na zawsze uświęconych, których tknąć nie było wolno: w to, co ojcowie moi wierzyli i ja wierzę, — zapomniano tylko, że to nie było wiarą — że w tej wierze nie było wiary — że to był taki sam mus psychiczny, jak odżywianie się jest musem fizjologicznym. Wierzone w słowo, wierzone w dogmat, jak wierzone w prosty paragraf prawa — nie zastanawiano się dla czego i czemu, nie zagłębiano się w jakieś pozazmysłowe głębie i tajnie — starczyła jak najzupełniej wiara w dzienną jawę, w przekazaną, bezmyślnie przyjętą tradycję i bezmyślnie odziedziczony dogmat, który poszczególny członek społeczeństwa razem z mlekiem z piersi matki wyssał.

Na gruncie tej „wiary“ — wiary w nieomyłne świadectwo zmysłów i nieomyślność konwenansu praw i dogmatów, „istotności“ kategorii werbalnych mógł się rozpanoszyć i Wolterjanizm — walka słownych kategorii z innymi — mógł sobie wojować płytki materializm — śmigi jednego wiatraka słów waliły o inne, nie mniej kruche — mógł nawet jako przeczenie wynieść śmiesznie hardą

głową Ateizm i bluźnić Deizmowi — po powierzchni tej płytkiej „wiary“ mógł się z łatwością ślizgać *ostrożny i giętki, niezmiernie ugrzeczniony liberalizm i ani na chwilę nie natknąć na twardą opokę chłopskiej wiary w dogmat i w to, co ojcowie jego wierzyli — można było równocześnie i kościół budować dla swojej parafji i do łoża masońskiej uczęszczać.

„Gdyby Boga nie było, trzebaby go wynaleźć!“ Ten płytki aforyzm trafił jednakże w sedno dogmatycznej wiary.

Bóg był potrzebny jako postrach, jako surowy sędzia, śledzący pilnie złe i dobre uczynki człowieka, to znaczy takie, które jakikolwiek pożytek przynoszą — a kategorii pożytku jest bez liku i miary — lub też piętnowane są jako zbrodnie, to znaczy uczynki, przekraczające prawa, czy to przez ludzki paragraf, czy też kościelny dogmat jako szkodliwe uznane.

Bóg, w znaczeniu tej „wiary“, był właściwie najwyższym sądem apelacyjnym, do którego się w razie niekompetencji i niemożliwości rozsądzenia spraw ludzkich tu na ziemi udawano, by je po śmierci rozsądził.

Ten Bóg, którego by w danym razie trzeba było wynaleść, gdyby już nie był wynaleziony — Bóg-miarka, Bóg-języczek na szali wagi sprawiedliwości, Bóg tych, co tylko siedem razy na dzień grzeszą i tych, których Bóg-Jezus powrozkami z świętyni

swego ojca wyganiał, by jej nie plugawili — ten tylko Bóg stanowił całą „wiarę“.

I z tymto Bogiem walczyli Wolfer i encyklopedyści, gdyby błazeńscy bandilleros z rozszalałym bykiem na arenie cyrku hiszpańskiego, z tym Bogiem staczał materjalizm i pozytywizm swoje wiekopomne homorycznego śmiechu warcie boje, przeciw niemu nastawiał swoje oszczepy Sancho-Panza-Sojcalizm i o olbrzymi monolit jego posągu rozbijał sobie Ateim swój barani czerep.

Ten Bóg się ostał — niewzruszalny — bo potrzebny, bo bez niego światby się wykoleił, a rozumiał to Napoleon, gdy czempredzej śmiesznego bałwana Dieu — czy też Déesse-Raison, z piedestału zwałił — Napoleon, najpotężniejszy wyraz Potęgi pięciu zmysłów.

Zasię inny Bóg objawił się w MYŚLI polskiej, której widomą gwiazdą jest Adam Mickiewicz — a po lafach stu w nowym blasku: Jan Kasprowicz.

I jeżeli cośkolwiek mogłoby uniewinnić zakusy krytyki, by stworzyć w ciągłości myśli polskiej jakiś przełom i odgraniczyć go bezmyślną nazwą starej i młodej Polski, to jedynie pojęcie Boga — z tem jednak zastrzeżeniem, że od czasów Romantyzmu aż po dziś dzień to pojęcie nie uległo w istocie swej najmniejszej zmianie. Ciągłość myśli polskiej przerwało nieszczęsne wyjałowienie jej między 1850 a 1890 rokiem; młoda Polska, jeżeli już gwałtem używać

okresów, rozpoczęła Mickiewiczem, doznała krótkiej przerwy przez „starą” — istotnie starczą, bezwładną, podagryczną, spokoju i wygody i domowych pieleszy żądną, po dobrym obiedzie mlaskającą i wśród różańcowych pacierzy drzemiącą Polskę — ale tylko na krótki czas: z większą jeszcze mocą odżyła w współczesnej dobie.

„Daj mi rząd dusz!” krzyczy Konrad,
„Tak gardzę tą martwą budową,
Którą gmin światem zowie i przywykł ją chwalić,
Żem nie próbował dotąd, czyli moje słowo
Nie mogłoby jej wnet zwalić;
Lecz czuję w sobie, że, gdybym mą wolę
Ścisnął, natężył i razem wyświecił,
Możebym sto gwiazd zgasił, a drugie sto wzniecił...”

I znalazł się po stu lafach, znalazł wieszczym duchem Konrada przeczytany on „rząd dusz” — z jego pomocą pogasło dużo gwiazd — drugie sto jeszcze się nie rozpałiło — bo daleka — daleka jeszcze droga, którą nie jeden, ale sto jeszcze „rządów dusz” przejść musi.

Inny, och inny Bóg, ten, „któregoby wynaleźć nie można, gdyby nie był wynaleziony” — co za ohydne bluźnierstwo pojęciu Boskości, a dotychczas i ludzkiem i kanonicznym prawem uświęcone — niż Bóg, którego Mickiewicz i Słowacki wyznawali, z którego ołtarzy dziś na nizinach Kujaw, na szczytach Tatr,

w puszczech Polesia, czy też na królewskim Wawelu
ofiarne dymy w cały wszechświat płyną!

Ten Bóg — to Absolut, bezkresny obszar abso-
lutnej Świadomości sięgający od jednej wieczności
do drugiej: zawrotna jej przepastna głębia i oczyma
człowieka nie dająca się przedrzeć poprzez tajemnice
ciemności, w jakich spowita spoczywa.

Nad miarę zazdrosnym jest Bóg-Absolut o swoje
ukryte skarby: raz na tysiąc wieków skradnie jakiś
Tytan-człowiek iskierkę ognia, za co srogimi mę-
czarniami pokutować musi — a od przedzierania się
przez granice, wykreślone dla człowieka, ostrzega
Ruysbroeck Admirabilis, bo taki śmiałek winien jest
śmierci. I nad miarę skąpą jest dusza Boga-Abso-
lutu: wydzieliła człowiekowi jedną skibę z całego
bezkresnego obszaru — kazała mu ją rozorywać
w krwawym trudzie, w krwawszym jeszcze ją uży-
źniać — dała człowiekowi życie świadome, życie
pięciu zmysłów: tyle właśnie, ile człowiekowi jest
niezbędnie potrzebne, by do zewnętrznego życia
mógł się przystosować i wszczepiła w niego nieo-
kiesznane, rozpaczliwe pragnienie Poznania i nieu-
kojoną Tęsknotę za utraconym rajem, do którego
wrót bezustannie i daremnie kołacze, a w których
kiedyś razem z Bogiem w absolutnej Świadomości
bytował.

I ten Bóg-Absolut jest nie poza mną, ale we
mnie — rzuca mi okruszyny, którymi zajadły głód

mój mam nasycić; w chwilach szczególnej łaski i dobrotności odsłoni rąbek zaledwie jednemu na dzieśnięć tysięcy, a dwom na milion według pytagorejskiego Bazilidesa, z poza którego tryśnie promyk wiekuistej piękności, a od którego oczy ślepną; czasami zlituje się Bóg-Absolut nad marną kreaturą ludzką, która się wdarła na Golgotę najstraszliwszych cierpień i tak rozgłośnię zatrzepotała skrzydłami swej tęsknoty, że na błysk sekundy rozerwą się wrzeczadze tajemnicy początku i końca Bytu — buchnie straszliwy ocean światła na błysk sekundy, a potem znowu głucha ciemność!

Z tym to Bogiem szarpie się Konrad, z tym Bogiem, gdyby biblijny Mojżesz, rozprawia się Kasprowicz i przeciw niemu w ciężkim żalu, a nieraz w bezsilnem bluźnierstwie się buntuje, o brak miłości oskarża go Żeromski, duma nad jego piekielnym porządkiem rzeczy, który się wiecznie mści i pojąć nie może, że „kara istnieje a winy niema“ — Przybyszewski, gubi się w tajemniczych mrokach gwiazd Miciński z czarodziejską różdżką w rękę, by dotrzeć do mitycznych skarbców, ukrytych w łonie Tatr, ucieka przed ciężką melancholją życia Tetmajer i osnuwa się cudowną pajęczyną baśni i legend, a przy manometrze fabryk łódzkich stoi Reymont, lub też skrzętnie doziera, czy „Chłopom“ nie brak żarcia lub picia — na pohybel temu Bogu, który dotychczas niezbyt przyjaźnie ich życiem się zajmował — kaja się przed nim, zlorzeczy mu jeden z najmniej znanych,

a najwięcej uwagi godnych z „rzędu dusz“ Władysław Orkan i w subtelnych dialogach, pełnych wytwornej dialektyki, rozprawia się z nim Berent.

„Stara“ Polska, ta trzoda owiec bez pasterza, bez jakiegoś wodza Mojżesza, wróciła według zezwolenia Pana w pokoju do domów i rodzimych pieleszy, zasiadła szczęśliwa, że się ciężkich potrzeb wyzbyła przy tłustych garnkach Egiptu, nie troszczyła się o tego Boga, który rozdierał trzewia i piersi proroków i wieszczów, uśmiechała się pogodnie na dziecinno-zapaleńcze porywy młodzi, której wnet „romantyczne“ zapaly z głowy wyszumią, w miarę jak Bóg „pożytku“ dobre żniwo w gumno wwieść pozwoli i pieniądze kabza się ocieli.

Stąd ta pogodna pewność w moc Boga, bez którego woli włos z głowy nie spadnie, który wszystko zło w dobre przemieni, żadna niewiasta cudzołóstwa nie popełni, byleby tylko do spowiedzi poszła i grzechem dusza się jej nie zmaże, o ile zawarła ślub chociażby i z najwięcej znienawidzonym samcem, całkiem nie zważając na skomlących Płoszowskich, — rodzina Połanieckich stanie się wzorem cnót chrześcijańskich — o bluźnierstwo! — a świat cały zaginie: ale dogmatyczne obrządkie w dalszym ciągu odbywać się będą...

Jakie sponiewieranie godności boskiej Człowieka, który do jednego stołu z Bogiem zasiadał, pięścią mu wygrażał, wybiegał ku niemu mocarny, groźny:

— „żeś Ty jest, zgaduję,

Niech Cię spotkam i niechaj Twą wyższość uczuję —
Ja chcę władzy, daj mi ją, lub wskaż do niej drogę:
O prorokach, dusz władcach, że byli, słyszałem
I wierzę; lecz, co oni mogli, to ja mogę;
Ja chcę mieć władzę, jaką Ty posiadasz,
Ja chcę duszami władać, jak Ty niemi władasz“.

Tak przemawia Polska do Boga!

I, aby tego Boga ogarnąć, w jego tajemnice się wkraść, moc chociaż spojrzeć w przepastne jego głębie, na to trzeba innych organów, jak rozczłonkowanych pięciu zmysłów — potrzeba było Uczucia, węzła wszystkich zmysłów, już nam znanych i takich, o których nie mamy wyobrażenia, a zaledwie je niejasno przeczuwamy; węzła, w którym wszystkie zmysły, nie tylko te pięć, ale może ich setki, wzajem się przenikają — jednym słowem Jedni wszystkich zmysłów, w której płaszczyznę jako bryłę we wszystkich jej wymiarach się widzi, światło, jako ciepło i dźwięk się odczuwa, jednym słowem: kiedy specyficzna energja zmysłów przestaje istnieć i jednym zmysłem świat się przenika — a to Uczucie: spłot wszystkich zmysłów w nierozzerwalną Jednią, jest organem, wewnętrznym Zmysłem owej „Nagiej Duszy“ którym wsysa w siebie „świat“ zewnętrzny, — „nagiej duszy“, części boskiej absolutnej świadomości, ale z nią sąsiadującej i wieczną tęsknotą cały jej obszar zagarnąć spragnionej!

I Uczuciem, wewnętrznym zmysłem nagiej duszy, to znaczy małej części absolutnej świadomości, zdołał Mickiewicz wynieść się do potęgi biblijnego proroka, Słowacki do wieszczych przenikań Bytu całego narodu i wróżebnych wytyczni jego przyszłości. Uczuciem, jedynym organem, którą się moc Boga ogarnia, jego nieskończoność „od jednej wieczności do drugiej“ przenika, którym się wgłębia w tajnie, kędy Twórca-człowiek i natura cała Jednią się staje, żyje Myśl Polska.

I to Uczucie jest jedyną podstawą Wiary.

Przeszłe pokolenie — tu istotnie można użyć terminu „stara“ Polska — posługiwało się najprostszym racjonalizmem — biednym surogatem dogmatów, którymi się jedynie mózg pętało, w tę lub ową stronę kierować mu się kazalo, ale który z istotną Wiarą nie miał nic wspólnego.

Stąd ta pogoda, beztroska i harmonja w życiu Starej Polski: skoro się wymaganiom dogmatu zadość uczyniło — czegoż jeszcze potrzeba? O co się jeszcze troskać, o co jeszcze walczyć?

I to był ten wielki grzech: „Zleniwienie się w drodze postępu, chęć bytowania dłuższego w materji. dbanie o trwałość i o formy wygodę“, który to grzech „Młoda Polska“ z duszy narodu wymazać pragnęła,

I stąd ten pozorny bezład, to straszliwe szamotanie się, te zaciekle wewnętrzne walki, te przerażenia, i to skamienienie „rządu“ dusz, kiedy „widzącą“ wiarę usłyszeli, „świat napełniony jękiem rodzanej

się natury“, slyszei „Lamentyny“ na urwiskach nadmorskich skał, że wołają o zlitowanie się Boga, kiedy wniknęli w ono przedbytowe istnienie, gdy „duch twórczy był jeszcze w rozpacz i nieprzekonany jeszcze o własnej mocy i twórczości“ (Słowacki: „Genezis z Ducha“).

I do tej „widzącej“ wiary, mocą której Duch ludzki przenika tajnie Przeszłości i ciemnie Przyszłości odślania, wkopuje się wąskimi kruzgankami w podziemne pieczary, kędy wszystkie pochodnie gasną, by dotrzeć do źródła praognia, z którego wszelki Był swój początek wywodzi, — mocą której Duch ludzki na niebezpieczne, w krwawe znoje przeobfite wyprawy na bieguny nieznanne odwiecznych pytań swego Przeznaczenia, Początku swego i Końca się puszcza — nawrócił „rząd dusz“, który mianem „Młodej Polski“ ochrzcono.

I przed oczyma tego „rządu dusz“ rozwarły się groźne przepaście — odkryły się wąskie wejścia do podziemnych, w nieskończonych labiryntach poplątanych groń, zięjących przerażającym strachem, trwożą i lękiem śmiertelnym.

Tu na wierzchu, w obrębie państwa pięciu zmysłów, na dniu słonecznym, w blasku ślepej wiary — wiary pożytku i owczarskiego rozumu — wszystko jest pogodne i harmonijne — wszystkie przeciwieństwa cudownie się wyrównują, a jeżeli sprawiedliwość się odwlecze, to w każdym razie nie uciecze.

Ale tam w głębi, w obrębie widzącej Wiary, szarpie duszą człowieka przestrach, lęk, trwoga sądu ostatecznego, a im głębiej dusza ludzka w nierozwikłanych zagadkach się gubi a żadnego ich rozwiązania nie widzi, tem cięższą męką, tem krwawszym cierpieniem się znoi,

... „Et tout est effroyable, lorsqu'on y songe“ — woła Maeterlinck — a młoda Polska nie lękała się tego „Effroyable“, — tych wszystkich „strasznych, przerażających rzeczy“, które przy głębszem wmyśleniu się na wierzch się wylaniają — miała odwagę wstąpić w podziemia, wczłogać się w ciasne labirynty pozamysłowego i ukrytego Bytu, wniść w czeluści piekła i wydobyć z niego na jaw ten il, z którego życie się tworzy — wszystkie jedno w jakich przemianach — zbrodni czy cnotcie, rozterce czy spokoju, rozjuszonej walce czy też w spokojnej rachubie przy kantorku bankowym.

Może najszczytniejsza zasługa „Młodej Polski“ to ta wielka odwaga, z jaką wzięła na swe barki ogrom Cierpienia, jaki z widzącej Wiary wynika.

Ponad miarę ludzką cierpieli „widzący“ prorocy — Ezechiel, Jeremiasz, Jezajasz — cierpiał Dante — cierpiał Skarga — wił się w cierpieniu Mickiewicz, Słowacki — całe piekło cierpień rozwarło się w duszy Kasprowicza, Wyspiańskiego, Żeromskiego, w beznadziejnym bólu tarza się dusza Przybyszewskiego przed Tym, który karze za nierozpoznawalne winy

i z chorem sumieniem się boryka — przeraźliwy tragizm życia rozłania Daniłowski w beznadziejnym boju o wyższą formę Istnienia — urąga Orkan w swoich „Roztokach“ wrzekomej predestynacyjnej Harmonji Życja, przed nędzą Rzeczywistości ucieka Tetmajer w zaczarowany świat fatrzańskich baśni i legend.

Młoda Polska to przeraźliwy dzwon na trwogę wśród wesołych, harmonijnych piasów karnewalowych, to przeraźliwa groźba „Dies irae“, wplątana nagle w „słowiańskie sielanki“, wróżąca, iż

„Trąba dziwny dźwięk rozsiej,
ogień skrzepnie, blask ściemnieje,
w proch powrócą światów dzieje.
Z drzew wieczności spadną liście
na Sędziego straszne przyjdzie,
by świadectwo dać Psalmiście..“

Młoda Polska to właśnie Ten, którego Kaspro-wicz wzywa:

„A ty, psalmisto Pański, nastrój harfę swoją już na ostatni ton!“

I na ten „ostatni ton“ kiedy już „grzech krwią czarną duszę plami“, kiedy duch ludzki, od drzewa Absolutu oderwany liść, pędzi i naprzód i wstecz,

„niby garść kurzu, porwana cyklonem:
przed nim i za nim płomienisty miecz
iskrzy się ostrzem czerwonym;
przed nim i za nim wstają z swych cmentarzy

upiory wieków, naznaczone sromem
winy i grzechu,
i klną i bluźnią i płaczą,
jęczą i syczą i dyszą
nieustającą rozpaczą,
od szaleńczego zamierają śmiechu
w ten Pańskich gniewów nieskończony dzień“ —

Na ten Ton jęku, płaczu, bluźnierstw, rozpaczy, kłąt, Trwogi i Przerażenia nastroił psalmista pański każdy jeden z „rządu dusz“, stanowiących Młodą Polskę, harfę swoją, na ten ostatni ton, w którym Dusza człowieka w strasznym cierpieniu się wije — bohaterskiem Cierpieniu „Widzącej wiary“.

Dosyć mieliśmy sielanek, dosyć już cukierków i pasztetów, nigdzie lepiej nie przyrządzanych jak w polskiej, literackiej garkuchni — dosyć obchodów jubileuszowych i balowych festynów na cześć naszej rycerskiej tężyzny, i już dosyć procesyj w okół pól chwały — nadszedł czas, kiedy trzeba było łódź myśli polskiej z miałkich, piaszczystych mielizn zepchnąć na wiry i głębie, kazać jej walczyć z burz orkanami, sterować ją na niebosiężne morskich bałwanów szczyty, pozwalać jej zlatywać w głębie dolin spienionych wód — wyżej znowu i wyżej wzbiegać i znowu w czelustną przepaść w krwawym znoju, śmiertelnej trwodze, w nieludzkiej męce i cierpieniu się staczać — dokąd?

Do świętego Thule, panowania w Duchu nad światem całym, którego „leniwo“, „wygoda“, chci-

wość i pragnienie pożytku i tchórzliwy lęk przed Cierpieniem nam objąć nie pozwala.

Odwagę cierpienia posiadała „Młoda Polska“ — odwagę, którą w nią wielki wieszcz wszczepił:

Cierpieć za miliony!

I największego poszanowania jest godną.

Hagiografja poucza nas, że święci, nawiedzani ciężkimi chorobami, cierpiący w życiu doczesnem męki bez liku i miary, wybawiali osobistem cierpieniem, pokornie na siebie przejętą męczarnią, ludzkość od rozlicznych klęsk — kto wie, czy i „rządowi dusz“, który nagle się pojawił, nie przysługuje ten sam — zaszczytny fragizm?!

Małoż objawień przez męczarnie duszy Kasprowicza, Żeromskiego, Wyspiańskiego i tylu innych w przebolesnych „Hymnach“, w „Bezdomnych“, dla narodu, by go ostrzec przed strasznem przyjściem Sędziego w Pańskiego gniewu dzień... by wieścić mu miedzianą surmą archanioła, iż „jedno jest tylko w przestworzach widomem... nad płomiennemi falami wiekuiętego Żywota... jedno jest tylko Jednem... ponad pokoleń pokoleniem biednem

w Pańskiego gniewu nieskończony dzień:
wielki wszechmocny Ból!“

Ból „widzącej“ wiary, Ból daremnych dociekań, przyczyn i sromanie się nad śmiesznymi skutkami, Ból bezradnej niemocy, wstrząsającej trwogi i przeraźliwego Lęku nad tem wszystkim, gdy się wyjdzie poza granice pięciu zmysłów:

„Et tout est effroyable lorsqu' on y songe!
I zaiste:

żadna dusza żadnego narodu nie przeżyła w tym spotęgowanym stopniu tego przerażenia bezdennych pokłębnień się w ciemne odmęty Bytu ludzkiego, jak właśnie Dusza Polska.

Czem jest anegdofyczny ból życia jakiegoś Maksyma Gorkiego wobec bólu Żeromskiego w „Bezdomnych“, czem Andrejewa „Czerwony Śmiech“ wobec „Historji jednego pocisku“ Struga — dla wszechmocnego Bólu Kasprowicza w całej literaturze polskiej wogóle niema porównania, dla Wyspiańskiego trzebaby sięgnąć do prorocत्व biblijnych, twór jego mierzyć rozmachem gniewu i pioruny ciskającej mocy jakiegoś Ezechiela.

I nigdy w całej Europie, nawet w najskrzętniejszym szukaniu, nie znajdziesz tego uroczystego napięcia Ducha, tych męczeńskich przygotowań do wjazdu w jakieś święte Hierusz-Halaim, tej heroicznej pochopności zbiedzonego Szymona z Kyreny, by Zbawicielowi ulżyć w dźwiganiu krzyża, nigdzie większej ochoty brania cudzych grzechów na własne barki, nigdzie większej i surowszej powagi a równocześnie głębiej kajającej się pokory, jak w tym, przez Mickiewicza przepowiedzianym, w gorącej tęsknocie upragnionym „rządzie Duszl“

Nie przez schlebianie dumie narodowej, nie przez krzepienie Ducha, wsadzając go przemocą na finlandzką kobyłę bohaterskich walk, dawno prze-

brzmiałych bojów, wątpliwych zwycięstw, nie przez śmieszne i dziecinne przechwalanie się dawno wyblakłą potęgą i mocno zszarganą świetnością przeszłych dziejów, ale przez żywy, wielki, wszechmocny Ból widzącej Wiary odrodzi się Polska.

ULTIMA THULE:

SZTUKA JAKO UZMYŚLOWIENIE WIDZĄCEJ WIARY.

Skromne granice nakreśliłem dla mej próby a raczej przyczynku do syntezy, by objąć olbrzymie rozmiary wyęźzonej pracy duchowej, jakiej w ubiegłym ćwierćwieczu Myśl Polska dokonała. Pragnąłem tylko dać kąć widzenia, pod jakim społeczeństwo polskie, systematycznie wprowadzane na manowce przez niechętny i wrogi autorytet „fachowej krytyki“, na usiłowania „rządu dusz“, mającego na celu li tylko Odrodzenie zabagnionej Myśli, świętym testāmentem naszemu pokoleniu przez Objawienie Mickiewicza i Słowackiego przekazanej, winno się zapatrywać — pragnąłem tylko wzbudzić odrobinę powagi w zapatrywaniu się na dostojną misję, którą tak szkalowana, niechlujnem błotem obrzucana „Młoda Polska“, wykonawczyni wielkiego Zakonu poczętego w „Romantyzmie“, spełnić usiłowała.

Spróbuję się streścić:

Na najwyższe szczyty, na jakich Duch ludzki w „Sztuce“ się objawił, dźwignęła go Wiara, to znaczy w najroźnościjszym znaczeniu Pewność

istnienia jeszcze innego, wiekuiwego Bytu poza tym, którym człowiek za pomocą pięciu zmysłów tu na ziemi bytuje. Wyraźnie zaznaczam Pewność, bo tylko pewność jest podstawą Wiary, nie zaś sceptyczne „le grand Peuf-Etre“ Rabelais'a.

Pewność istnienia Bytu poza opłótkami pięciu zmysłów — Pewność istnienia jakiejś a b s o l u t n e j Świadomości, której mikroskopijny pyłek zaledwie musi mi wystarczyć do ustosunkowania mego „Ja“ do całego otaczającego mnie „Zewnątrz“ — ta pewność stworzyła pojęcie Bóstwa — w s z e c h w i e d z a c e j Potęgi — bo w niej wszystko, co mózg człowieka mozolnie na przyczyny i skutki rozczłonkowały musi, w niezmiennej i nierozzerwalnej Jedni spoczywa, — w s z e c h m o c n e j — bo może mocą swej absolutnej Świadomości kierować „losami“ najodleglejszej przeszłości nam nieznaney i „losami“ przyszłości, które w jego „łonie“ spoczywają, dla nas w najgłębszej tajemnicy ukryte — „losami“ — istniejącymi dla języka ludzkiego, nieistniejącymi zaś dla Bóstwa, bo dlań jest Przeszłość i Przyszłość wieczną Teraźniejszością — w s z e c h w i d z a c e j: atrybut wyrażający najgłębiej pewność, immanentną każdemu człowiekowi, istnienia Bóstwa, objawiającą się jako poczucie dobra — w cnocie, zła — w zbrodni i grzechu, jako wstyd i sumienie — w tajemnicy dróg swoich n i e d o c i e c z o n e j, ani przeniknąć się nie dającej, bo w absolutnej świadomości niema ani Czasu ani Przestrzeni, ani jakiegokolwiek rozczłon-

kowania na jakiegokolwiek bądź kategorie czy to zmysłowe, czy też psychiczne. Niema tam granic niemiędzy międzyczasowych, międzyprzestrzeniowych, niema granic między jawą a snem, życiem a śmiercią, złem i dobrem.

Jest tylko jedno Heraklitesa:

Hen kai Pan.

Jednia w Wszystkiem, Wszystko w Jedni...

Nieściśle się wyraziłem, mówiąc, że ta Pewność stworzyła pojęcie Bóstwa; z tą pewnością i z tem pojęciem przychodzi człowiek na świat, tak samo, jak już w łonie matki istnieje potencjonalność funkcji wszystkich zmysłów, które w zetknięciu się z światem zewnętrznym natychmiast działać poczynają.

Człowiek nie tworzy pojęć Bóstwa, ale rodzi się już z tym potencjonalnym, wewnętrznym zmysłem Wiary — wszystko jedno, czy okaże się ona w ubożuchnej, ślepej wierze w dogmat, czy też przejawia się w proroczych objawach biblijnych proroków, w potężnych hymnach Świętej Teresy lub Słowackiego „Genezis z Ducha“.

Na najwyższych szczytach objawień Duszy ludzkiej przejawia się ta Wiara jako świadoma i widząca, a wzniosłym jej przejawem jest właśnie Sztuka, jako szczytne Objawienie ukrytego wewnętrznego zmysłu, którym Duch ludzki ku Bogu się wznosi, ku niemu tęskni, przed nim się w prochu kaja, z nim się rozpaczliwie zмага — (co za wspomniały symbol biblijna walka Jakóba z Archanio-

lem! —) i z nim się w straszliwym „Cupio dissolvi“ zlać pragnie.

Sztuka jest niczem więcej, jak uzmysłowieniem widzącej Wiary, i jako taka ma nie tylko prawo, ale i obowiązek wnikania w wszystkie, najwznioślejsze i najhaniebniejsze przejawy życia, dociekania wszystkich głębin, wymierzania wszystkich nizin i wzbijania się w niebios odmęty. Sztuka, pojęta jako uzmysłowienie tych wszystkich przeczuć i tęsknot — jednym słowem jako wyraz najpotężniejszej koncepcji myśli ludzkiej w platonicznej Anamnezie — to nie ciasny, mały „Coin de nature, vu à travers le tempérament“ — och, jaka ubożuchna formuła! — to nie wychowawcza propedeutyka życia, ani krzepienie Ducha:

To pragnienie ogarnięcia Bytu ludzkiego w całej jego rozciągłości, w całej jego Jedni:

Nieba-Piekła, Zbrodni-Cnoty, Grzechu i straszliwych mąk Kary.

To nie biedny „coin de nature“, to miejsce, w którym „Stwórca z Naturą graniczy“; a tam się nie rozchodzi o „Pożytek“, tam niema etycznych, moralnych zagadnień, tam niema prawa artysty swoim ubogim mózgiem rozstrzygać o zagadnieniach, których rozstrzygnięcie w łonie Boga spoczywa — natomiast dostojną jego misją wgarnąć w swą duszę to wszystko, co objąć zdoła: uzmysłowić to wszystko, co mocą widzącej Wiary w wszechświecie i wszechżyciu było mu danem ujrzeć i przeżyć —

SĄD zaś nie sobie, nie społeczeństwu, ale niedocieczonemu, nieodgadniętemu Bóstwu pozostawić.

Artysta niema prawa „rozgrzeszać“ człowieka – jego prawem być sumiennym spowiednikiem, według Barbay d’Aurevilly, mieć odwagę wysłuchania najstraszniejszej spowiedzi; mieć odwagę Tacyta i Swetoniusza: przedstawić marne bytowanie ludzkie takie, jakim jest, a nie kłamliwe, w złudnych mirażach widziane, mieć odwagę nie „krzepienia“, ale „smagania basalykami“ duszy społeczeństwa, by nie gniła w niechlujnym lenistwie Ducha, ale ku coraz boleśniejszym napięciom się wyteżała. Jedyłą misją i zadaniem Sztuki, jak ją „Młoda Polska“ pojęła, dostojnym Ideą, do którego dąży, to stać się istotnie:

Uzmysłowieniem widzącej Wiary!

WCZORAJ-DZIŚ I BŁOGO- SŁAWIONY BÓL JUTRA.

I aby jeszcze jaśniej się streścić:

Wszystko to, co „Młoda Polska“ usiłowała, było walką żywej Wiary przeciw wygodnemu schematowi, skostniałym dogmatom i ślepej doktrynie.

Cała sztuka polska po roku 1848 była spętana barbarzyńską obrozą doktryny-tendencji, doktryna dobra społecznego, doktryn etycznych i utylitarystycznych, wreszcie doktryn naukowych. Z tego jarzma zapagnęła się „Młoda Polska“ uwolnić i powrócić

Sztuce jej najwyższe dostojęństwo i posłannictwo właśnie w tem, czem jedynie jest, była i będzie, w „uzmysłowieniu widzącej wiary” — nie skostniałej, zduszonej martwą doktryną, w ustalonych palisadach dogmatów schińszczałej, ale wiesznie żywej wiary.

„Młoda Polska?”

Ilekoć razy zamula się koryto żywej, widzącej wiary w Polsce, ilekoć razy duch polski — wieczny rewolucjonista — doktryną przez płytkich doktrynerów-krytyków krępowany zostaje, ilekoć razy płaska krytyka Myśl Polską usiłuje ująć w systemy, martwe formuły, ilekoć razy Polska się rozleniwia, gnuśnieje, lęka się cierpienia, w kapuańskich rozkoszach beztroski się wyleguje i zeszlęmi wawrzynami dawno już zgasłej chwały czoło sobie wieńczy — pokrzepienia szuka miast bolesnego wgłębiania się w ciemne swe obszary, rozweselenia i uludnej, kłamliwej otuchy miast baczyć, by z pokutniczego popiołu wyrósł świeży i potężny Phoenix — tyle razy powstaje „Młoda Polska” — jako Symbol żywej widzącej wiary, najpewniejsza poręka żywotności Myśli Polskiej, wspaniały zadatek naszej bogatej Przyszłości w Duchu. — „Młoda Polska” to ten sługa Nowego Testamentu, który po powrocie swego Pana przyszedł doń i powiedział mu: „Paniel talent Twój dziesięć talentów urobił”; a zaiste prawdy się nie otrzyma, jeżeli się na jej pomnożenie w krwawym frudzie, w bolesnej walce nie pracuje!

Biada Polsce, jeżeli po pięćdziesięciu latach
Myśl Polska znowu „Młodej Polski“ nie znajdzie.

Myślałby może ktoś, że mi się zdaje, iż nowe
prawdy wygłaszam — przeciwnie, mam wrażenie, że
nieudolnie przeżywam to i wygłaszam, co „Młoda
Polska“ w roku 1843 wyraziła przez swego najpo-
tężniejszego przedstawiciela Adama Mickiewicza
(„Literatura Słowiańska“, Tom IV, lekcja II z dnia
26 grudnia 1843).

„...Nie można podnieść się wyżej, nie opuściwszy
szczebla niższego, albo nie będąc gwałtem z niego
wyrwanym. Wszystko, co zwiastuje przyszłość, od-
rywa nas od przeszłości; i dla tego każda prawda
rodzi się w bólu, każda prawda zadaje ból; dla
tego każda prawda nie żyje i nie utrzymuje się ina-
czej, jak tylko pracą, która także jest bólem i cier-
pieniem...“

A ci wszyscy krytycy, którzy od wieków każdo-
razową „Młodą Polskę“ błotem obrzucali — ci wszy-
scy, których imię jest „legion“ — (w obcowaniu z du-
chem Mickiewicza dalekiem jest mi rozgrzebywać to
wstrętne śmietnisko bredni, potwarzy, obelg, szyder-
stwa, kpin, jakie fak zwana krytyka na podwórku
współczesnej „Młodej Polski“ nagromadziła) niech
sobie raz wreszcie zadadzą trud przeczytania dzieł
Mickiewicza, którego przecież naród w grobach kró-
lewskich pogrzebał, niech wejdą w siebie i rozważą,
że ta „Młoda Polska“, z czasów Mickiewicza to ta
samuteńka co współczesna — że walka, którą tamtą

staczała między 1820 a 1840 rokiem, na nowo wznieconą została między 1890 a 1910.

Walka przeciwko doktrynie, tej utylitarystycznej, pozytywistycznej, czy też naukowej. Każda doktryna jest „Świadowidem“ z tysiącem oblicz.

Słuchajcie!

„Doktryner jest to człowiek, który chce skazać prawdę na bezpłodność, bo chce nas uwolnić od wszelkiej pracy. Skoro czujemy się szczęśliwi i dumni z osiągnięcia jakiej prawdy, doktryna zaraz przychodzi nam mówić: „nie macie potrzeby pracować więcej, zdobyliście już wszystko“...

„Doktryna podaje formuły ...“

„Tym to porządkiem po apostołach i cudotwórcach następują teologowie i kazuiści, a wtedy przychodzi nawet do utrzymywania, że cuda i dary Ducha, jedyny dowód Jego bytu, są już niepotrzebne więcej dla ludzkości, że ludzkość ma w podręcznych zbiorach teologii wszystko, co tylko jej przeznaczono wiedzieć o ziemi i niebie, o teraźniejszym i przyszłym świecie...“

„Zwodnicza ta mowa ujmuje człowieka i pomalu wyciąga z niego całe życie“.

„Doktryna łatwo się przyjmuje, bo nie naraża ducha na żaden koszt.. Doktryner powiada ci: dowiesz się wielkich, pięknych rzeczy, staniesz się mą-

drym i potężnym, a nie będziesz obowiązany poświęcić, nawet w czemkolwiek zmienić swoich przekonań. Każdy tedy, trzymając na stronie swój egoizm obwarowany, rad udaje się po wiedzę, pewien, że ją otrzyma i otrzymawszy, obróci na dogodzenie sobie...“

„...Tym to porządkiem po wielkich prawodawcach następują prawnicy i adwokaci ze swojemi formułami i wyrażeniami raz na zawsze ukutemi.

Tym porządkiem po wielkich bojownikach, po mężach natchnionych, zajmują miejsce ludzie nauczający, że po k ó j przedewszystkiem, że każdy u siebie i dla siebie...“

„Przyjście tego rodzaju ludzi jest prawie znakiem upadku ducha ludzkiego...“

Tak przemawia „Młoda Polska“ z przed pięćdziesięciu lat — szkoda tylko, że Mickiewicz nie wspomniał o olbrzymiej potędze „tego rodzaju ludzi którzy „w chwilach upadku ducha ludzkiego“ się pojawiają i stanowią nieprzepartą zaporę dla żywej, widzącej wiary.

Spółczeństwo z rozkoszą ich słucha i z przyjemnością podlega ich przemożnemu terrorowi, boć oni są wyznawcami tej bezdusznej, wygodnej wiary, „raz już na zawsze ukutych formuł i wyobrażeń“, które ani snom sprawiedliwych nie przeszkadzają, ani żołądkowych zaburzeń nie wywołują.

Aleć puśćmy to wszystko w niepamięć...

Stara gwardja wyznawców doktryny mężnie walczyła, a, że uległa i ulec musiała, to bynajmniej ujmę jej nie przynosi, ani zwycięskiej „Młodej Polski” zbytniem uczuciem triumfu przepelniać niema potrzeby.

Żaden naród w całej Europie — mówię to bez najmniejszej przesady, tylko z wielkim i o prawdzie głęboko przeświadczonym naciskiem — nie może się poszczycić takim królewskim „rządem” współczesnych, „młodych” twórców, jak właśnie Polska.

Z zdumieniem patrzyła Europa na plejadę młodych twórców w „młodej Belgji”, Maeterlincka, Krainsa, Eeckhouda, tak samo jak w epoce naturalizmu podziwiała Zolę, Daudeta, Bourgeta, Huysmansa; my podziwu Europy nie potrzebujemy, ale ważnemby było, gdyby własne społeczeństwo sobie uświadomiło, jakim monarshem bogactwem jest dla niego taki „rząd dusz”, który w jednym okresie czasu powstał: Kasproicz, Żeromski, Wyspiański, Tetmajer, Reymont, Żuławski, Rydel? Daniłowski, Strug i Orkan, Sieroszewski lub Tadeusz Miciński... Pokażcie mi gdziekolwiek indziej równie głębokiego myśliciela poetę jak Miriama (Przesmycki) równie subtelnie odczuwających i przeżywających krytyków jak Brückner, Feldman?, męczennik Stanisław Brzozowski, Matuszewski lub Gwalbert Pawlikowski, ludzi starszej daty, ale „widzących” i niezasklepionych — a tych w każdym społeczeństwie najtrudniej i naj-

rzadziej się spotyka — a co może jest najlepszym dowodem wysokości poziomu kulturalnego — ludzi, którzy najcięższy zator Myśli Polskiej przeżyli, jak Bogusławski, Chmielowski, Biegeleisen lub Krechowiecki.

Piszący tę „próbę zarysu“ historii współczesnej Młodej Polski — (i to za dużo powiedziane: to tylko luźne myśli, dygresje, patrzenie wstecz i naprzód —) miałby więcej niżeli ktokolwiek z innych, zaliczających się do „rządu Duszy“, powodów do ciężkich rozżalenia, że bezmyślna krytyka rodowód właśnie jego — tak nawskroś polskiej duszy, jego tak wszystkimi korzeniami w prostej, a tak nieskończenie głębokiej glebie kujawskiej, tej świętej kolebce Polski nad Gopłem, tkwiącej do samego dna duszy — wywodzi z romantyzmu niemieckiego, tylko dla tego, że parę lat posługiwał się językiem niemieckim, z naturalizmu Skandynawskiego, (bo przypadkiem zetknął się z Strindbergiem) — quos ego! — Ale puśćmy to wszystko w niepamięć — raczej błogosławić nam przynależy święty Ból Jutra — ośmielam się powtórzyć błogosławieństwo, jakim się mój dramat „Śluby“ kończy:

„Ból jutra“, który znowu jakąś „Młodą Polskę“ stworzy, który — jeżeli mylną była jej droga — na ręby wywróci wszelkie — jeżeli nie kanony — to wierzenia obecnej „Młodej Polski“, aby żywej wierze i wiecznie młodej Myśli Polskiej końca nie było.

Jak długo nasze panowanie w Duchu istnieje, tak długo mamy więcej, aniżeli którykolwiek naród, wielkie i święte prawo powiedzieć o sobie, że istniejemy — że istnieć będziemy mocą niedocieczonego prawa, które ustawicznie nową „Młodą Polskę“ tworzy — mocą, która źródłom widzącej żywej — naszej polskiej wiary wysychać nie pozwala.

K O N I E C .

Druk ukończono w grudniu 1921 r.



38200

/2